№ 22 Warszawa, dnia 16 (28) Maja 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

SYLWETKI LITERACKIE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

I.

Eliza Orzeszkowa.

(Dokończenie.)

Wiadomo, że wskład programatu liberalnego Europy wchodziła także t. zw. „kwestya" żydowska. Pionierami w tym kierunku byli światlejsi synowie „wybranego ludu", idący przodem w walce, której ostatecznym celem miało być zupełne równouprawnienie, społeczne i towarzyskie, tułaczego od wieków plemienia.

Mojżesz Mendelsohn, Heine i Börne zasłużyli się wielce sprawie narodu, z którego pochodzili: nie szkodzili jej i Auerbach, Kompert, pominąwszy autorów chrześciańskich, jak: Lessing, Gutzkow i inni.

W współczesnej literaturze polskiej zajęła się Orzeszkowa niedolą poniewieranego narodu z wielkim zapałem. Poświęciła jej bowiem nietylko trzy powieści („Eli Makower", „Meir Ezofowicz", „Mirtala"), ale i osobną broszurkę publicystyczną, wydaną w roku 1870 („O żydach i kwestyi żydowskiej".)

Orzeszkowa zna bardzo dobrze ujemne strony żydów. W wymienionej powyżej broszurce mówi o ich nieuczciwości tak w handlu, jak we wszystkich stosunkach interesowych, *vulgo* o szachrajstwie.

Nie zapomina o arogancyi synów Izraela i o ich wyłączności, o wrogiem ich wobec chrześcian stanowisku. Mimo to wierzy w możność uobywatelenia żydów, asymilowania ich z krajowcami. Cudu tego ma dokazać jej uniwersalna recepta na wszystkie nierówności społeczne, mianowicie: wiedza.

— Co do mnie wierzę — mówi — że wtedy tylko nasze wszelkie zagadnienia społeczne, z żydowskiem włącznie, szczęśliwie rozwiązanemi zostaną, gdy nauka da nam możność badawczo, jasno i swobodnie myśléć, a myśl badawcza jasna i swobodna nauczy nas energicznie i umiejętnie działać. Wierzę, iż prędzej czy później zrozumiemy wielką omyłkę naszą i zamiast gasić światło, z całych i wszystkich sił rozpalać je będziemy. Wierzę, że gdy dziecinne baśnie i fantastyczne widma ustąpią miejsca prawdom i naukom wiedzy, nienawiści umilkną, odrębności znikną, niedołęztwa zamienią się w dzielność a pogardy i złorzeczenia we wzajemny szacunek dla praw i godności człowieka.

Należałoby przypuścić, że tak gorąca wielbicielka nauki wykaże jej potęgę w stosunku do żydów w akcyi powieściowej, że stworzy typ jakiegoś izraelity światłego, który nas z narodem swoim pogodzi. Tymczasem wybrała sobie Orzeszkowa na bohatera swej pierwszej powieści żydowskiej, prostego „kupca", Eli Makowera.

Eli Makower jest rzeczywiście typem w całem tego słowa znaczeniu. Biografia jego jest historyą wszystkich zbogaconych handlarzów żydowskich.

Syn ubogiego krawca, starego, uczciwego Judeli, zwykły szajgec bez nauki i wychowania, wychodzi z czasem na bogatego kupca. Szkołą jego jest ulica, karczma, rynek, profesorami: starsi faktorowie, szachraje różni. Zrazu przypatruje się bezczynnie robocie innych, dorósłszy jednak, zostaje sam pośrednikiem handlowym na małą skalę.

Wolno, stopniowo, krok za krokiem posuwa się Eli w hierarchii finansowej. Ubogi faktor, załatwiający sprawy chłopów, staje się doradzcą oficyalistów wiejskich, dalej dziedziców, w końcu panem ich. Jak się to dzieje, rzecz powszechnie wiadoma. Eli rządzi się zasadami odrębnej etyki faktorskiej, czyli, nie przebiera w środkach. Oszukać kogoś, to rozum, wyzyskać, nic złego, skrzyw-

dzić, to zwykły manewr kupiecki. Mądry bierze, głupi daje.

Eli jest psychologiem nielada. Zatapia on długo i głęboko bystry wzrok w twarzach chłopów i szlachciców, z którymi wchodzi w układy. Charakter interesanta, jego stosunki, położenie, jego smutek i chwilowe nieszczęście, wszystko umie Eli na korzyść swoją wyzyskać.

W głowie jego nie ma oczywiście ani jednej myśli szlachetniejszej, szerszej. Nie zna się on na obowiązkach obywatelskich, nie wie, co to honor, co uczciwość i dobroć serca. Krąży on, jak dziki zwierz naokoło ofiary, którą sobie upatrzył, zawsze gotowy do skoku, do zabicia. W pracy tej pomagało mu całe miasto. Najlichszy szajgec poczuwał się do solidarności ze zręcznym kupcem. Gdy się który ze szlachciców opierał, osaczono go ławą. Nie było w całej okolicy nikogo, ktoby skazanemu na śmierć ziemianinowi pożyczył pieniędzy, lub kupił od niego zboże, okowitę, las. Ziarno niech zmarnieje, drzewo niech zgnije, bo tak kazał Makower. Eli nie zmiłował się nawet nad Mieczysławem Orchowskim, którego musiał szanować.

Postępował więc Eli jak zbrodniarz, jak najzaciętszy wróg, a przecież był zkądinąd człowiekiem pełnym zalet. Ojca swego, starego Judelę, kochał czule, rodzinie nie szczędził niczego, a „swoim" braciom w Mojżeszu, pomagał wedle sił. Wobec chrześcian tylko stawał się nieubłaganym drapieżcą.

Nagle, przy końcu powieści zmienia się jego charakter. Wszystko dla pieniędzy poświęcający handlarz, szlachetnieje i zaczyna być prawie obywatelem kraju, w którym się urodził i wychował. Znając zasady Orzeszkowej, jej uniwersalne lekarstwo na wszystkie nierówności, trzebaby sądzić, że cudu tego dokonała wiedza, nauka. Lecz Eli zostaje tym samym ciemnym żydem, którym był od początku powieści, tym samym kupcem, nie zapominającym o zyskach materyalnych nawet wtedy, gdy podaje bliźniemu dłoń życzliwą.

Nie oświata budzi w nim uczucia ludzkie, jeno kilka słów serdecznych, wygłoszonych przez starego Judele. Ubogi krawiec, daleki od interesów tej ziemi, od szachrajstw handlarza, przemówił do serca ukochanego syna i zdołał go nawrócić.

Praktyka wygląda prawie zawsze inaczej od teoryi.

Orzeszkowa, przypisująca nauce moc cudowną, nie wykazała skutków jej dobrodziejstw, odnośnie do żydów. Eli posłał swego syna Abramka do szkół i czegóż się z niego doczekał? „Edukowany" Abramek przezwał się Gotliebem, mówił, że jest niemcem, gardził rodzicami i wiarą swych przodków, zamiast ukochać wiedzę, jak sobie tego jego ojciec życzył, zatrudniał się lichwą, w końcu ukradł Elemu pieniądze i uciekł do Ameryki.

Dopiero w drugiej powieści, osnutej na tle stosunków żydowskich, w „Meize Ezofowicz", postawiła Orzeszkowa sobie i swoim wierzeniom trwały pomnik. Wszystko, co liberalna autorka czuła i myślała, co przepełniało jej serce i niepokoiło mózg, wlała w buntownika szybowskiego, w kochanka swojej wyobraźni. Piękny on też i sympatyczny, owiany wonnościami poezyi, wypieszczony życzliwą dłonią doświadczonej już artystki. Niepodobny on do owych: inżenierów, mechaników, kupców, przyrodników i lekarzów, którzy z szyderskim na ustach uśmiechem mówią: my, ludzie pozytywni! i rozprawiają rozumnie a nudnie, uczenie a rozwlekle o obowiązkach pospolitych, o wiedzy i dobrobycie. „Narwaniec" to, wychylający głowę po nad szary tłum, stający do walki z potęgą, utrwaloną i uświęconą przez wieki, rosnący w siłę i odwagę w miarę piętrzących się przeszkód... marzyciel, człowiek natchniony i na wskróś niepraktyczny. Jak gdyby się poezya chciała zemścić na Orzeszkowej za okazaną jej wzgardę, kazała jej upleść najcenniejszą powieść z charakterów romantycznych. Bo Meir nie jest bohaterem pozytywnym, ani wyrozumowaną jego miłość do Gołdy, wnuczki starego karaity, bo wszystko, co ten młodzieniec czyni, muszą ludzie „trzeźwi" potępić.

„Meir Ezofowicz" jest najlepszem dziełem artystycznem Elizy Orzeszkowej. Przetrwa on twórczynię swoją i zapali może kiedyś w sercu jakiego nowego „odszczepieńca" ogień miłości. Po raz pierwszy panowała autorka w tej powieści nad sobą. Zamiast rozumować, naginać bajkę do tendencyi i wtrącać niepotrzebne uwagi lub odezwy do czytelnika, zachodzące jeszcze w „Eli Makowerze", odmalowała w „Meize" stosunki, wypadki i charaktery z bezwzględną przedmiotowością, trzymając na wodzy swe przekonania osobiste. Rysunek głównych postaci, począwszy od uroczej w młodości, a świętej w starości Frejdy, aż do nędzarki Gołdy, podobnej do wonnego kwiatka, wyrastającego z pod gruzów i śmiecisk, nie pozostawia nic do życzenia. Kompozycya „Meira" odznacza się ścisłością i lekkością.

Autorka nie obciążyła tym razem budowy mnóstwem zbytecznych szczegółów i szczególików, nie przeładowała ją tanią erudycyą encyklopedyczną, którą lubiła się popisywać w dawniejszych powieściach. A po nad całością wieje owo „coś", czego się nie można nauczyć, z czem trzeba przyjść na świat, ów duch Boży, zwany talentem artystycznym.

„Meir Ezofowicz" zamyka pierwszą połowę działalności powieściopisarskiej Elizy Orzeszkowej. Jest on ostatnim a pięknym wyrazem jej liberalizmu. Począwszy od nieudolnych dosyć, tak pod względem treści, jak techniki utworów, rozwijała się Orzeszkowa wolno, stopniowo, aż doszła w kierunku wytkniętym do możliwej doskonałości. Zanim napisała „Eli Makowera", pierwsze swe lepsze dzieło, nużyła czytelników przez trzydzieści blizko tomów robotami rozwlekłemi, grzeszącemi przedewszystkiem zbyt obfitem gadulstwem. Być inaczej nie mogło, bo powieściopisarz społeczny musi długo pracować, zanim się przetrawi i dojdzie do równowagi.

Z chwilą, gdy umysł Orzeszkowej dojrzał, gdy zbogacony doświadczeniem, obserwacyą, zaczął myśléć i rozważać samodzielnie, ustępuje i tendencya, rażąca w początkowych utworach, na drugi plan. Autorka podmiotowa, staje się przedmiotową, liberalna *par excellence* bezstronną. Miejsce „nowego" człowieka zajmuje człowiek wogóle, doktrynę *a priori* zwycięża obserwacya. W nowellach, znanych pod wspólnym tytułem „Z różnych sfer" jest już Orzeszkowa tylko artystką.

I pojęcia jej stają się teraz szerszemi.

— Na nieszczęście — mówi Orzeszkowa w „Widmach" — o doli i niedoli jednostki *nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają też na nie uczucia, przywyknienia a nawet przesądy.*

Czego Orzeszkowej nie dała wiedza teoretyczna, tego nauczyła ją obserwacya, najwłaściwsza mistrzyni artystki.

A. W. Różyczkowa.

DOBRA NOC.

Zgasła dawno słońca kula,
Mrok tajemny świat otula,
Rozlewając czarów moc.
Anioł Pański dzwon wydzwania,
Jakby dawał pożegnania
Znak krainom: „Dobra noc!"

Na gór szczyty mgła opada,
Lecz księżyca jasność blada
Płoszy cieniów moc.
Jako łabędź na głębinie,
Po wód toni łódka płynie,
Szepcze falom: „Dobra noc!"

Już przybiła do wybrzeża,
Dziewczę z chłopcem na ląd zmierza,
Łączy ich miłości moc.
Tu krajobraz w raj się zmienia,
On całuje, pełen drżenia,
Jej usteczka: „Dobra noc!"

Przełożył z czeskiego

Miriam.

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

K. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Sąd polubowny między Stadnickim a Opalińskim nie doszedł wcale do skutku, gdyż Ostroróg i Leśniowolski wymówili się, podobnie jak Herburt, od udziału w tym sądzie, dając za powód, że raz już, przed dwoma laty byli zaproszeni na sędziów wraz z Mikołajem Wolskim marszałkiem nadwornym, ale wtedy ani Stadnicki, ani Opaliński wyroku ich uznać nie chcieli. Nadto Stadnicki oświadczył teraz, że na sąd polubowny nie przystaje, lecz woli „sąd Boży" to jest wyzywa Opalińskiego na pojedynek. Wyzwanie to starosta leżajski odrzucił z urąganiem, chociaż mówił Herburtowi, że chciałby albo Stadnickiego położyć trupem, albo sam zginąć.

Tymczasem Zygmunt III udał się na wyprawę pod Smoleńsk, zaleciwszy ponownie obydwom przeciwnikom, aby stanęli przed trybunałem w Lublinie. Właśnie zbliżała się kadencya czyli czas posiedzeń tego najwyższego dla Małopolski sądu. Stadnicki i Opaliński zjechali do Lublina, lecz ja-

koś mało obydwa myśleli o rozprawach sądowych, bo nie troszczyli się ani o wprowadzenie swej sprawy, ani o wyszukanie adwokatów.

Trybunał już wtedy w wymiarze sprawiedliwości rzadko bywał bezstronnym, gdyż składali go wybierani przez szlachtę posłowie, którzy nietylko że rzadko posiadali wykształcenie prawne, ale nadto ulegali widokom tego lub owego magnata. Trudno było i teraz spodziewać się sprawiedliwego wyroku, bo i Opaliński i Stadnicki mieli swych stronników w trybunale, który przeto znajdował się, jak się mówi, między młotem a kowadłem. Nic więc nie poczynano, a tymczasem obydwa przeciwnicy znajdowali się w mieście z pocztami zbrojnemi i można było spodziewać się, że przyjdzie do gwałtów. Opaliński miał wprawdzie ze sobą tylko 30 ludzi, wyborowych i dobrze uzbrojonych, ale Stadnicki miał ich daleko więcej, gdyż przyprowadził kilkuset swoich węgierskich „sabbatów". Przy pierwszej więc sposobności napadł na orszak Opalińskiego i poraził go; w potyczce ze strony Opalińskiego zginął szlachcic Białkowski. O to głównie powstał gwałt wielki na Stadnickiego, bo gdyby było zginęło kilkuset chłopów, małoby kto na to zważał, zabicie zaś jednego szlachcica poruszało całą Rzeczpospolitą. Przy tem zbrojne takie zajścia w miejscu posiedzeń i pod bokiem trybunału były, według prawa zbrodnią, zasługującą na karę śmierci; ale wchodziło już wtedy w zwyczaj mało troszczyć się o to prawo i nie wykonywać go nigdy. Wyznaczono jednak Stadnickiemu termin stawienia się, ale gdy starosta łańcucki zajął swem wojskiem ratusz, trybunał nakazał mu opuścić Lublin i nie pokazywać się bliżej jak na odległość dziewięciu mil od miasta.

Śmieszny ten rozkaz równał się zwycięztwu Stadnickiego, bo tym sposobem odkładano jego sprawę; należało zaś raczej ująć gwałtownika i zastosować do niego całą surowość prawa. Pośpieszył więc Dyabeł łańcucki wykonać rozkaz i opuścił Lublin ze swoim pocztem; to samo uczynił Opaliński nie mając już nic do czynienia w tem mieście.

Trwała więc dalej wojna między obu starostami, ale zmienił się nieco charakter postępowania zapaśników. Odtąd, rzecz dziwna, Dyabeł Stadnicki okazuje więcej umiarkowania niż Opaliński, który natomiast wpada w coraz większą zaciekłość, jak gdyby na usprawiedliwienie wyrzeczonego przez Herburta zdania, że obaj przeciwnicy byli siebie warci.

Stadnicki trzyma się odpornie, Opaliński go naciska i ściga; doszło nawet do tego, że Krwawy Dyabeł nieraz w urzędach grodzkich i przed ziemianami skarży się na gwałty Opalińskiego, grając nie bez pewnych pozorów słuszności, rolę prześladowanego i uciemiężonego. Może ta zmiana tłomaczy do pewnego stopnia inny dziwniejszy jeszcze i nieprzewidziany przez nikogo wypadek: oto znany nam Herburt stanął otwarcie po stronie Stadnickiego!

Sprzykrzyło się zapewno uczonemu wydawcy dzieł Długosza, odsiadywanie aresztu domowego, żywiona zaś ciągle tajemna niechęć ku Zygmuntowi III podała Herburtowi myśl skorzystania z nieobecności króla w kraju, aby go pozbawić korony i ofiarować takową Gabryelowi Batoremu.

Stadnicki miał stosunki z Batorym i to zapewne popchnęło Herburta ku dawnemu jego nieprzyjacielowi.

Stało się więc, że Herburt złamał dane słowo i połączył się ze Stadnickim, walcząc nawet orężnie w jego sprawie: wiadomo np. że pobił oddział braci Pohrudyńskich, którzy należeli do wojsk Opalińskiego.

Za to Opaliński zadał Stadnickiemu klęskę daleko dotkliwszą. Zyskał bowiem sprzymierzeńca w osobie księżnej Anny z Kostków Ostrogskiej, dziedziczki Jarosławia. Pani ta, gorliwa katoliczka, nienawidziła Stadnickiego jako heretyka; nadto doszło do jej uszu, że Dyabeł łańcucki w wojnie swej z Opalińskim nie szczędzi kościołów katolickich. Chętnie więc księżna porozumiała się ze starostą leżajskim i wysłała mu na pomoc pułk swoich kozaków dworskich, co stanowczo dało Opalińskiemu przewagę nad przeciwnikiem.

Stadnickiemu brakowało już ludzi i zasobów i dlatego to może głównie zaczynał krzyczeć o gwałty i prześladowania Opalińskiego, któremu sprostać nie mógł.

Znajdował się wtedy, (przy końcu 1609 r.) wraz z żoną i synem w wiosce swej Wojutyczach. Opaliński ufny w swą potęgę, napadł na Wojutycze.

Stadnicki ukrył swoich „sabbatów" w zasadzce, a gdy kozacy Opalińskiego rozproszywszy pozostałą garstkę ludzi Dyabła, wpadli na podwórze, wtedy dopiero sabbaci, wypadłszy z kryjówek, otoczyli ich i celnym ogniem prażyć zaczęli. Nie dał jednak za wygranę Opaliński: ludziom jego udało się podpalić dwór i wykurzyć tym sposobem Stadnickich.

Sam Dyabeł z synem uciekł, żonę zaś jego przebraną za wieśniaczkę, pochwycił Opaliński do niewoli, ale wkrótce potem wypuścił.

Stadnicki zaskarżył zaraz Opalińskiego do grodu w Przemyślu, ale upojony zwycięztwem starosta leżajski stanąć nie myślał, szyderczo odsyłając Stadnickiego po sprawiedliwość „do króla pod Smoleńsk". Wtedy Dyabeł zebrał ostatnie siły i wypędził Opalińskiego z Leżajska, splądrowawszy jego zamek, w odwet za poprzednie zajęcie Łańcuta.

Nie przeszkodziło to jednak Stadnickiemu żalić się na swe krzywdy przed szlachtą i prymasem, który wtedy, pod nieobecność króla, stał na czele rządu. Prymas i senatorowie nie wiedzieli sami co począć; przedewszystkiem upominali Stadnickiego i Herburta do zaniechania konszachtów z Gabryelem Batorym, o których wiedział już król, usiłujący udaremnić je za granicą. Ponieważ zaś sam Batory jakoś opuścił swoich sprzymierzonych w Polsce i zaprzestał posyłać ludzi oraz pieniędzy Stadnickiemu, nie pozostawało więc temu ostatniemu nic innego jak upokorzyć się przed królem i senatorami, skarżąc się wciąż na krzywdy, doznawane od Opalińskiego.

Opuścił nawet Leżajsk i przyjął sąd polubowny, przez senatorów wyznaczony. Sąd ten, zebrany w Wiśniczu, spisał umowę ugodną pomiędzy Opalińskim i Stadnickim.

Ze strony Opalińskiego podpisali się na tej umowie Przyjemski, kasztelan gnieźnieński i Jędrzej z Tęczyna, kasztelan wiślicki; ze strony zaś Stadnickiego sędziami polubownymi byli: Stanisław Kościelecki, kasztelan bydgoski i Zygmunt Ossoliński, wojewoda podlaski.

Zdawało się ziemianom przemyskim i sanockim, że nakoniec pozbędą się wojny domowej, trapiącej ich od lat pięciu. Niejeden prawy obywatel ciężko wzdychał, patrząc na walki bratobójcze, pochłaniające ludzi i zasoby, a toczące się swobodnie na znacznej przestrzeni kraju, wówczas gdy królowi, podejmującemu ważną wyprawę wojenną zbywało na ludziach i pieniądzach.

Miano nadzieję, że teraz przecie to się skończy.

Tak stały rzeczy przy końcu roku 1610 i na początku 1611.

(Dokończenie nastąpi.)

PIERWSZA TAJEMNICA.

OPOWIEDZIAŁA

Maryą Napierałska.

(Dokończenie.)

Wanda wysłuchawszy mego objaśnienia, rzuciła mi się na szyję, dziękując za ojca ale jednocześnie twarz jej oblała się żywym szkarłatem.

— A jednak kapitan kochał cię na prawdę — rzekła — nie powinnaś więc była, zadawać mu takiego cierpienia.

— O! — zawołałam z entuzyazmem — ty go potrafisz bardziej kochać i uczynić szczęśliwszym ale ty jedna tylko. Prostoduszna, poczciwa moja przyjaciółka nie potrafiła nawet przypuścić, czy istniały jakie pobudki inne, dla których dałam pierwszeństwo marszałkowi — i powtórnie twarz płonącą zakrywszy szepnęła:

— O! nie mów, nawet nie wspominaj o tem!

— Dobrze, ale pojmujesz Wandeczko, że ojciec twój nie potrzebuje wiedzieć o kapitanie, aż dopiero wtedy, gdy zostanę jego żoną, opowiem mu to sama.

— A zatem będę miała macochę młodszą od siebie — zawołała Wanda z uśmiechem w pół mnie obejmując.—Jakże to szczęśliwie się złożyło, bo wiedz moja droga, że tylko ty jedna możesz być nią, gdyż żadnej innej nie pozwoliłabym zająć miejsce mojej matki kochanej...

Taka była nasza rozmowa. Wspomniałam jeszcze o Rolandzie, ale Wanda odrzekła stanowczo.

— Czy myślisz, że przyjęłabym miłość człowieka, który kochał inną kobietę? Nie! na to jestem za wiele wymagającą i za dumną zarazem.

Wróciwszy z przechadzki, zaczęłam się ubierać do obiadu, a wzruszenia przebyte w tym dniu nie przeszkodziły mi wcale wybierać najozdobniejszej tualety. W obszernej szafie zawierało się mnóstwo moich najróżniejszych sukien: białych, niebieskich, różowych, słowem wszystkie kolory wszystkich magazynów. Z pomiędzy tych strojów, zdecydowałam się nakoniec na wzięcie węgierskiego fantazyjnego kostyumu, z czarnego i zielonego aksamitu, w jakim mówiono, że jest mi bardzo do twarzy. Już właśnie z zadowoleniem stałam przed lustrem przypatrując się własnej postaci, już zapinałam pod szyję ogromną frezę z brabanckich koronek, gdy nagle wpadła do mnie zdyszana Anusia wołając.

— Wańdziu, Wańdziu! ojcu stało się coś niebobrego, kapitan sam pojechał do doktora, a ojciec siedzi w fotelu jak nieruchomy.

Mówiąc to dziewczynka wybuchnęła płaczem. Jakby iskra elektryczna wstrząsnęło mną jakieś

przykre uczucie, spinka wypadła mi na dywan, a ja sama z rozpiętą frezą zbiegłam szybko ze wschodów na dół, prosto do pokoju Marszałka, poprzedzając płaczącą Anusię.

W niedużym gabinecie, siedział zemdlony marszałek w fotelu. Wielka Wanda stała przy ojcu, podając trzeźwiące flakony, a niepokój wyraźnem piętnem odbijał się na jej twarzy. Marszałek w połowie leżąc bezwładnie z opartemi rękami na poręczach i przymkniętemi oczyma, zdawał się być uśpiony. Wpadłszy do pokoju, przystąpiłam natychmiast do omdlałego i pochyliłam się nad głową jego.

— Marszałku — szepnęłam — marszałku, proszę otworzyć oczy.

Gdy wezwanie nie skutkowało, objęłam jedną ręką ramię marszałka, podając mu drugą flakonik. Siwa głowa jego opadła na moje piersi, ale zaraz prawie otworzył przymknięte źrenice, spotykając się z czarnemi memi patrzącemi weń oczami. Jeszcze go czule okalałam ręką, kiedy rzekł do mnie cicho głosem bardzo osłabionym:

— Wando! nie prawda, że ty mi wszystko szczerze wyjaśnisz.

— Nie wiem o co idzie, panie marszałku — odrzekłam pomieszana — ale najpierw uspokój się i pozwól zaprowadzić na szeslong, przy mojej pomocy.

Wyrzekłszy to, ujęłam go pod rękę i zaprowadziłam na sofę, siadając obok. Chociaż ręce mocno mi drżały ze wzruszenia, przecież nie pochodziło ono wyłącznie ze współczucia dla Marszałka, ale ze strachu jaki obrót weźmie ta cała sprawa, na wypadek śmierci Marszałka. Wanda wyszła umyślnie z Anusią z pokoju, zostawiając nas samych, Marszałek zaraz zapytał:

— Czy to prawda, że poprzednio kochałaś Rolanda i byłaś jego narzeczoną?

Gdy to mówił, białe upierścieniowane starca ręce dotykały się z widocznem drżeniem koronek i aksamitu węgierskiego mego kostyumu. Ja zaś stałam przerażona, oniemiała, machinalnie poprawiając frezy przy mej szyi obnażonej.

— Wando! — mówił dalej z wielkim wysiłkiem — powiedz, że to fałsz, kłamstwo, potwarz nikczemna...

Zarumieniona nic nie odpowiedzałam, tylko poniosłam chustkę do oczów i rzewnym załkałam płaczem.

— Wando — mówił dalej starzec ze wzmagającą się gwałtownością, twoje pomieszanie... milczenie... do rozpaczy mnie przywodzi! Czyżby Roland prawdę mówił...? Czyżbyś rzeczywiście żywiła dla niego uczucie gdyś...

— Panie marszałku — przerwałam z uniesieniem — gdybym Rolanda rzeczywiście kochała, to w tej chwili znienawidziłabym go za narażenie cię na takie cierpienie, wzgardziłabym nim jako ostatnim nikczemnikiem. Kiedy tu przybyłam, byłam panią swego serca, cóż więc dziwnego, że Roland zręczny i starający się mi podobać, chwilowo obudził pewne zajęcie i przypuszczenie, że go kocham. Szał ten jednak trwał krótko i kiedym przyjęła ofiarę twej ręki panie Marszałku, już byłam wolną od niego i mówiłam szczerze ofiarując ci moją przyjaźń, szacunek i... miłość.

Gdym to wyrzekła Marszałek rzucił na mnie badawcze spojrzenie a potem wyciągając rękę odezwał się z widocznym wysiłkiem:

— Dziękuję ci panno Wando... za dane mi objaśnienie... Nie mogło być inne... młodość ma swoje prawa... ale jakże bolesny zawód... Roland był zawsze dobrym chłopcem... w tem wszystkiem jest coś dla mnie niepojętego...

Zaledwie to wyrzekł znów okropna bladość pokryła twarz jego, padł powtórnie bezwładnie na poduszki kanapy a w tejże chwili zaturkotało na dziedzińcu i wszedł do pokoju Roland z doktorem. Jak prawdziwą zbrodniarkę ogarnęła mię szalona trwoga, bez opamiętania wybiegłam do przyległego pokoju, gdzie upadłszy na kolana przed otomanką aksamitną, ukryłam w niej oczy i uszy, by się nawet niedomyślać co się dzieje w pokoju chorego. Zdawało mi się tylko, że doktor niezadługo wyszedł, poczem dał się słyszeć mocny, przenikliwy głos Rolanda i na to brzmienie wcisnęłam głowę jeszcze głębiej, pozostając nieruchoma. Nagle uczułam dotknięcie mego ramienia. Odwróciłam głowę przerażona i zobaczyłam stojącego kapitana.

— Idź pani do Wandy — rzekł spokojnym głosem — marszałek w tej chwili żyć przestał.

* * *

W trzy dni później odbył się pogrzeb marszałka. Umarł niejako z mojej przyczyny. Na cóż opisywać te wszystkie uczucia i boleści, jakie mną ogarnęły po tym wypadku.

Wielka Wanda rozpaczała po stracie ojca, głęboko, ale spokojnie i z poddaniem się. Sama nie poszłam na pogrzeb, wymawiając się niezmiernym bólem głowy, widziałam tylko jak z mieszkania posuwał się żałobny orszak w pośród ponurego głosu dzwonów, płaczu córki i licznego grona przyjaciół i służby i włościan żałujących straty dobrego pana. I cóż mnie samej teraz pozostawało? Wzgardzona, znieważona prawie ujrzałam się raptem w nader smutnem położeniu. Byłam znów ubogą guwernantką, młodą dziewczyną, której życie uległo tylu zmianom, sierotą prawie bez opieki i z rozdartem sercem przebitem bólem spadłego na mnie nieszczęścia. Szlachetna prawdziwie wielka Wanda, ani jednem słowem nie zapytała dotąd, co zaszło między mną, Marszałkiem i kapitanem? Byłam pewna, że zaraz po pogrzebie wymówi mi miejsce bezwarunkowo w swym domu. Zdawało mi się także, że Wanda domyśla się wszystkiego i dlatego postanowiłam rozmówić się z nią jak najprędzej, pożegnać, przeprosić i następnie pojechać do Warszawy.

W parę dni po pogrzebie, smutna i zadumana poszłam przed wieczorem do ogrodu nad rzekę, tam właśnie gdzie niegdyś spotkałam Rolanda uszczęśliwionego widzeniem się ze mną. Rzeczka ta wylewała często na wiosnę podpływając pod całe wzgórze a na szczycie jego stała ławka, ulubione przeze mnie miejsce do spoczynku... Siadłam tam więc w zamyśleniu i niezadługo łagodny powiew wiatru tak mię ukołysał, że nawet wprowadził w stan lekkiego uśpienia. Gdy otworzyłam oczy, już noc zapadła i gwiazdy na niebie świeciły. Nagle szum jakiś blizki dał się słyszeć i ujrzałam jak całe podgórze już były wodą podmyte. Szybko zbiegłam na dół z przerażeniem, chociaż właściwie nie było żadnego niebezpieczeństwa, bo widziałam że dość będzie podnieść suknię cokolwiek aby módz przez wodę przejść swobodnie. Lecz pora czasu coraz ściemniająca się, plusk wody złowrogi, wspomnienie o niedawnym pogrzebie, wszystko to przejmowało mnie dreszczem dziwnej obawy. Drzewa zdawały się przybierać jakieś poczwarne postacie, zdala migało coś białego, z trwogą też schodząc ze wzgórza oglądałam się bojaźliwie.

Co to? Czy złudzenie, czy rzeczywistość, ktoś zmierza w moją stronę. Widzę czarną, wysoką postać... kto to jest?...

Nie wiem jak długo pozostawałabym w śmiertelnem drżeniu, ale z postawy poznałam Rolanda. Zmieszałam się, udając jednak odważną i spokojną napozór nie ruszyłam się z miejsca, trzymając tylko machinalnie fałdy spódnicy.

— Czy się pani masz zamiar utopić? — zapytał stanąwszy nad brzegiem wylanej rzeczki.—Pozwól że ci pomogę do wydobycia się z tej wodnej pułapki.

Nic na to nie odrzekłam, tylko patrzyłam w niemem zadziwieniu, gdy Roland najspokojniej w świecie wszedł w wodę dochodzącą wyżej kostek i doszedłszy do wzgórza chciał ująć mnie oburącz i przenieść na suchą murawę. Cofnęłam się mimowoli.

— Czyżbyś pani lękała się — zapytał z rodzajem wymówki — przyjąć pomoc tak konieczną w położeniu w jakiem się znajdujesz? W zapytaniu tem tyle było jakby serdecznego żalu, że w jednej chwili wachanie wszelkie z mej strony ustało i wstrząsnęłam głową przecząco. Wtedy Roland wziął mnie lekko na ręce i z największą troskliwością i ostrożnością zaczął iść przez wodę.

Chwila ta pozostanie mi na zawsze w pamięci. Dla własnego bezpieczeństwa z lekka objęłam dłonią jego szyję i tak posuwając się w objęciu mego tak niegdyś ukochanego, mimowolnie westchnęłam.

— Ah!—pomyślałam sobie—całe życie byłabym mogła tak pozostawać w jego ramionach, gdyby nie fałszywe wyrachowanie, jakiego... sama padłam ofiarą.

Gdy wreszcie przebyliśmy wodę i stanąwszy na murawie, chciałam podziękować za odebraną przysługę, Roland przerywając rzekł:

— A teraz, pożegnam panią, zapewne na zawsze, bo prawdopodobnie drogi naszego życia już się z sobą nie zejdą nigdy.

— Wdzięczną jestem niewymownie — odrzekłam pomieszana — bo gdyby nie pan mogłam się naprawdę utopić, wracając wśród ciemnej nocy do domu.

Roland nic na to nie odrzekł, tylko przychylił głowy w niemym ukłonie, i potem rzekł:

— Przyszedłem tu umyślnie wiedząc jak miejsce to jest przez panią ulubione. Panna Wanda bowiem była wielce niespokojna, wracajmy zatem śpiesznie, zwłaszcza, że zaraz odjeżdżam.

Wiadomość tę przyjęłam z wielką przykrością, miałam jednak tyle mocy nad sobą, że nie okazałam tego chociaż z wielkim wysiłkiem. We dworze Roland pożegnał mnie zwyczajnem ściśnięciem ręki — i tak rozstaliśmy się z sobą zimno i etykietalnie.

Jam była pewną czegoś innego, a przynajmniej miałam nadzieję... Znów zawiodłam się! Czyżby życie moje miało się składać z samych zawodów?

Z dużą Wandą dłuższe było pożegnanie, słyszałam przez drzwi salonu jak błagał ją o ukojenie smutku i poddanie się woli Boga. Żałował przytem, że obowiązek służby nie dozwala mu dłużej przy niej pozostać, że postara się jak najprędzej znów ją nawiedzić, i że prosi choć o odrobinkę dla siebie przychylności, jaką cały dla niej jest przejęty.

Zdawało mi się jeszcze, że przy ostatecznem wreszcie rozstaniu się złożył długi pocałunek na ręku wielkiej Wandy, co mi wielką i dziwną przykrość sprawiło.

Tego samego wieczora po wyjeździe Rolanda, postanowiłam stanowczo rozmówić się z nią i bezwarunkowo opuścić Bironkę i wrócić do Warszawy. Obszukawszy wszystkie pokoje na próżno dla znalezienia Wandy, udałam się nakoniec z bijącem sercem do gabinetu marszałka, gdyż tam tylko znajdować się mogła. Na lekkie pukanie do drzwi nie odebrałam żadnej odpowiedzi, ośmieliłam się więc uchylić je, zaglądając trwożliwie. Kirem okryta postać klęczała przy łóżku, na jakiem niedawno zmarł marszałek. W pokoju było ciemno i cicho jak w kościele wśród nocy.

— Wando! — szepnęłam cichutko — czy nie mogłabyś wyjść do mnie i chwilkę pomówić. Pragnę tego...

Wanda bez szelestu, podobna do ducha przyszła do mnie i objąwszy w pół poprowadziła do naszego pokoju, jasno i wesoło wyglądającego. Tam dopiero odzyskałam zwykłą pewność siebie, widząc się otoczoną światłem i spostrzegłam, że powieki mej przyjaciołki zaczerwienione były od płaczu. Biedaczka! płakała pokryjomu, nie chcąc okazywać jawnie całej swej boleści.

— Wando droga — rzekłam z największą czułością, musimy się rozstać. Czuję się tutaj niepotrzebną...

— Ah! zawołała przenikliwym głosem, alboż czujesz się winną śmierci ojca mego kochanego? Przecie wiem, że śmierć ta z woli Bożej nastąpiła!

Łzy perliste przerwały jej dalszą mowę. Zakryła twarz dłoniami, i załkała boleśnie.

— O! Wando! zawołałam pochylając się ku niej; powiedz co myślisz co wiesz o mnie, powiedz, a wszystko przyjmę i o nic się nie rozgniewam. Wanda była tak dobra, że jeśli domyślała się czegoś złego z mej strony, nie wymówiła ani jednego słówka, nie zrobiła najmniejszego gestu, w którym dałaby mi poznać, że ma żal do mnie niczem niezłagodzony. Co do mnie nie przyznałam się otwarcie do wszystkiego, natrącając tylko zlekka o dawniejszej nieznaczącej niby słabości do Rolanda, o pobudce zaś rzeczywistej jaka skłoniła mnie do przyrzeczenia mej ręki Marszałkowi, prawdopodobnie nie dowiedziała się nigdy. Z początku nawet sprzeciwiała się rozłączeniu, ostatecznie jednak uznając po części słuszność żądania mego zezwoliła na wyjazd.

Rozstałyśmy się z płaczem a niezadługo znalazłam się w objęciach mej przełożonej. Taki jest krótki ustęp z dziejów mej najpierwszej młodości: tak smutnej i bolesnej.

* * *

W dziesięć lat później byłam kobietą 26-letnią dotąd panną. Byłam właśnie w Paryżu z moją staruszką przełożoną, która zwinęła pensyą. Opowiedziałam jej wszystko nic nie tając, ale ona pobłażliwa dla mnie jak zwykle nie odepchnęła od siebie, ale przeciwnie przytuliła jako sierotę, niemającą nikogo więcej w całym świecie, bo nawet babka wróżąca mi niegdyś świetną przyszłość — umarła podczas jeszcze pobytu mego w Bironce.

Używałyśmy właśnie przejażdżki w lasku bulońskim. Nagle między licznemi powozami otaczającemi nasz pojazd, zobaczyłam jeden który zwrócił na siebie moją uwagę. Siedzieli w nim: wielka Wanda i... Roland. Mimo zmiany, jakie czas mógł poczynić w ich twarzach, poznałam ich przecież natychmiast. Dziś byli to już naturalnie małżonkowie, bo Roland pochylony do Wandy uśmiechał się wesoło, ściskając jej ręce. Wypiękniał, zmężniał a i Wanda ślicznie prawie wyglądała. Kurczowo prawie ścisnęłam palce mej przełożonej, mówiąc:

— Patrz pani, to on, Roland!

Jeszcze chwilka a powóz znikł na zakręcie.

— Czy nie przypomniałabyś się jej? — zagadnęła szanowna przełożona, powodując się zwykłą dla mnie dobrocią.

— O! nie — odrzekłam z gorzkim uśmiechem — nie chcę swym widokiem zakłócać im szczęścia, jakie dobrowolnie sama utraciłam...

Na tem się kończy karta mych wspomnień.

K O N I E C.

TEATR.

Francillon sztuka w trzech aktach Dumasa (syna) przekład Edwarda Lubowskiego.

Jeżeli zręczność w przygotowaniu pracy na teatralne przedstawienie, godna jest zawsze uznania, to słusznie przyznanie tej zalety należy się nowemu utworowi Dumasa (syna) p. t. Francillon. Nazwany został sztuką, bo nie jest rzeczywiście ani komedyą ani dramatem, a akcya tak zawsze upragniona, zastąpioną tu została świetnym dyalogiem prowadzonym z dowcipem i wykwintnością. Mimo tego sztuka w słuchaniu jako pozbawiona życia, nuży i nudzi cokolwiek a mimowoli obudza zapytanie w jakim celu napisana została?

Przyjrzyjmy się jej bliżej mając na pamięci zasadę autora, że teatr nie jest szkołą dla młodych panienek, której wiernie się trzymając nie przebiera nigdy w ostrości wyrażeń, a w Francillon jest jeszcze jaskrawszy i przyzwoitości publicznej wcale nie oszczędza.

Otóż w nowej tej sztuce główną rolę przedstawia młoda mężatka Franciszka de Riverolles, zakochana w swym mężu Lucyanie... trochę niedołędze, i uważająca małżeństwo jako związek dwóch serc połączonych uczuciem niezniszczonego niczem uroku poetycznego.

Przyjaciołka jej Teresa innego jest zdania i powiada, że szczęście małżeńskie widzi w spełnianiu obowiązków i w macierzyństwie, Czy zaś mąż ją kocha niepodzielnie nic ją to nie obchodzi, utrzymanie pozoru miłości w czynie i słowie jest dla niej zupełnie wystarczającem. Mąż przecie powiada, nie jest i nie może być kochankiem wiecznie zalecającym się...

— Być może, że dla ciebie jest to wystarczającem — odpowiada Francillon — ale dla mnie mąż i kochanek jedno i to samo znaczy.

Otóż dwa pojęcia pełne przesady i nienaturalności, jedno grzeszące zbytkiem realizmu, drugie wymagania. Rozprawę tę Francillon prowadzi z pewnem rozdrażnieniem, gdyż po dwóch latach pożycia z mężem podejrzywa go, że ją zdradza. Niepewność ta zatruwa jej życie, pozostawać w niej nie może dłużej i musi dojść koniecznie prawdy.

— Jeżeli podejrzenie moje sprawdzi się, woła do Teresy w uniesieniu Francillon, to zemszczę się, oddam oko za oko ząb za ząb... ale bądź spokojna, nie należę do tych którym się zdaje, że kobieta przy obcym mężczyznie może zapomnieć tego, którego pokochała choć ją podle zdradza. Odwet będzie moją zemstą ale tylko pozór jego a nie rzeczywistość.

Przez pragnienie więc zemsty, Francillon idzie za mężem na bal opery, który w czterdziestym roku życia ożeniwszy się z kobietą młodą, piękną, bogatą i kochającą go namiętnie, zdradza ją nikczemnie we dwa lata po ślubie, i dla kogo? Dla Rozalii Michon porzuconej przez niego przed ślubem, z którą potem romansowali jego przyjaciele a on odsadziwszy ich na nowo rozpoczął zaloty. Czyż to prawdopodobne?

Na balu tym, z pierwszym młodym człowiekiem jakiego spotkała, zajada sam na sam wieczerzę w gabinecie przy którym obok znajduje się mąż jej z Rozalią.

W domu w najwyższem rozdrażnieniu, Francillon opowiada mu co przez zemstę spełniła a nawet zmyśla to czego nie dopełniła.

Mąż nie wierzy, wywiaduje się jednak, śledzi szpieguje, podejrzenie wzrasta, sprawa się wikła coraz więcej, do rozdzielających się małżonków urzędownie przybywa pomocnik notaryusza Pinguet, w którym Francillon poznaje towarzysza swojej nocnej awanturki. Ale ten badany przyznaje, że wieczerzał z jakąś damą wielkiego świata, która za niego zapłaciła, ale jej przyrzekł, że o tem co w gabinecie restauracyjnym działo się, co mówiono tam i robiono nie wspomni ani słówka. I prawda byłaby się nigdy nie wydała, ale poczciwa Teresa zna swą przyjaciołkę dobrze, nieprzypuszcza jej upadku, a pragnąc stanowczo wybadać, udaje rozpacz i ubolewanie nad jej położeniem.

— Teraz wiem już wszystko — mówi do niej — o! biedna ofiaro...

— Co wiesz? — zapytuje porywczo Francillon.

— Pinguet opowiedział mi wszystko i przyznał...

— To skłamał nędznik bezczelnie! woła w uniesieniu Francillon.

Tym sposobem sprawa wyjaśnia się, małżonkowie godzą się a widz wacha się w wyrzeczeniu stanowczego zdania o utworze w każdym razie niepospolitym. Skandaliczny on jednak bardzo żadną wyższą nienacechowany myślą, i poświęcony kwestyi jeszcze u nas niemającej prawa obywatelstwa. Podobne wprawdzie awantury miewają miejsce wszędzie więc i u nas, ale w skrytości, w tajemnicy, może usprawiedliwione sofizmatami, ale nigdy nie wypływające z uznanej zasady. Mimo tego z wielu powodów, radzibyśmy jak najrzadziej spotykać się na scenie teatrów naszych z utworami podobnego rodzaju.

W roli głównej pani Lüde utrzymała się na stanowisku właściwem, nie była ani zbyt gwałtowną ani namiętną do przesady, czem usprawiedliwiła zupełnie, że schadzka jej z pomocnikiem notaryusza była owocem zemsty... z pozorem hańby. W tecim tylko akcie artystka za mało zachowała boleści po przekonaniu się o wiarołomstwie męża.

Panny: Wiśnowska i Noiret małe swe role ślicznie pojęły i przedstawiły czego im szczerze powinszować należy.

Pan Ładnowski w roli męża Francillon, miał trudne zadanie do rozwiązania, dokonał go jednak z pojęciem godnem uznania.

Pan Kotarbiński dobry deklamator, w ruchu i w salonowych rolach brak mu zawsze koniecznej na scenie swobody.

Pan Prażmowski, trudną rolę gaduły oddał z życiem i humorem, a p. Leszczyński jako ojciec

Lucyana był wielce naturalnym i naturalnie bardzo podsłuchującym suflera.

Występy p. Fiszera w monologach, z tak wielkiem zajęciem wysłuchane niedawno, zapewne więcej upowszechnią się na co pod wielu względami zasługują. Potrzebny do tego jest po części odrębny talent, mogący z wielkiem zadowoleniem publiczności, współzawodniczyć z komedyjkami po kilka na raz jeden przedstawianemi.

O podobnym monologiście, panu Fryderyku Klette artyście teatrów galicyjskich, donosi „Kaliszanin“ z pochlebną bardzo wzmianką i oceną gry jak się zdaje zupełnie bezstronną.

W luźnych scenach, powiada „Kaliszanin“, p. Klette przedstawia typy i charaktery danych postaci. Nie bez talentu jest naprzemian wiejskim bakałarzem, szewckim terminatorem, chłopem, młodym dandysem i t. p. Wszystko to odtwarza dobrze, z humorem i charakterystyką właściwą i zrozumieniem przedstawianych postaci... Talenta więc odpowiednie są i znajdą się, radzibyśmy też z podobnemi występami spotykać się i na naszej scenie choćby w teatrze małym.

G.

WYSTAWA HYGIENICZNA

W WARSZAWIE.

W ostatnich czasach mieliśmy w Warszawie wiele najróżnorodniejszych wystaw, ale bez wątpienia żadna z nich nie miała tego znaczenia i tej doniosłości, co otwarta w sobotę na Placu Ujazdowskim wystawa hygieniczna.

Dotyka ona nader ważnych i żywotnych kwestyi, gdyż kwestyi mieszkań, ogrzewania, czystości powietrza, dobroci artykułów spożywczych, wreszcie szkoły i szpitali.

Radzimy każdemu ojcu, radzimy każdej matce i gospodyni domu, pójść na tę wystawę i obejrzyć ją we wszelkich szczegółach, wiele tam można skorzystać i o wielu rzeczach pożytecznych dowiedzieć się...

Wystawa urządzona została z inicyatywy kilku lekarzy, prawdziwych „przyjaciół zdrowia“, myśl urządzenia jej znalazła życzliwe poparcie tak ze strony różnych instytucyi publicznych, jako też ze strony fabrykantów i przemysłowców, i oto w przeciągu sześciu czy siedmiu tygodni, na Placu Ujazdowskim, jak grzyb po deszczu wyrosło miasteczko, czyściutkie, schludne z uliczkami wysypanemi piaskiem, z gazonami i kląbami zieleni, z fontannami, a nawet i z maleńką sadzawką na gładkiej powierzchni której kołysze się zgrabna gondola.

Na rogach ulic i na placach stoją duże posągi gipsowe, Hygea, Eskulap, zadumany poważnie prapradziad nauki lekarskiej, stary Hipokrates i inne. Wśród tychże figur widzimy cztery, wyobrażające temperamenta ludzkie, jest więc wściekły choleryk dobywający szpady, sangwinik pełen życia, zadumany nad trupią główką melancholik i przepyszny, doskonale pojęty i wykonany flegmatyk, ziomek Bismarka i Hartmana widocznie, w szlafroku, w szlafmycy na głowie, z głupkowatym uśmiechem, zabierający się do zażycia tabaki.

Ulice zaimprowizowanego miasteczka mają też odpowiednie nazwy: Plac Hygien, ulica Hipokratesa, ulica Zdrojna, etc.

Budynki, może mniej liczne niż na ostatniej wystawie przemysłowo-rolniczej, są lekkie, efektowne i z gustem udekorowane, prócz jednego tylko domu szkolnego wzniesionego bez żadnych ozdób i upiększeń.

Na środku placu wystawowego jest urządzona fontanna „syrena“ warszawska z rogu obfitości wyrzucająca strumień wody, który z szelestem spływa na jej kamienne ramiona.

Główny inżynier kanalizacyi Warszawy, przedsięwzięcia mającego najbliższy związek z hygieną miasta, zbudował na placu wystawy kilka łokci kanału, oraz dużych rozmiarów model wieży ciśnień i filtru wodociągowego.

Wykonanie bardzo staranne.

Niedaleko „wieży ciśnień“ wznosi się „dom szkolny“. Jest to duża budowla drewniana, bez żadnych ozdób, w całej długości przedzielona korytarzem, z którego na prawo i na lewo prowadzą drzwi do izb mieszczących w sobie wystawowe okazy.

Kto dziatwę kocha, niech tego niepokaźnego domu nie omija. Zapewne nie zgromadzono tu wszystkiego co nowsza i najnowsza pedagogia za granicą wprowadziła już w życie, ale nie można z tego robić ani wystawcom, ani inicyatorom wystawy zarzutu. Owszem rozpatrzmy to co mamy i co mieć możemy i starajmy się, aby przyszła wystawa była bogatszą i zapełnioną obficiej.

Początek każdy jest trudny, więc i w wymaganiach należy odpowiednią zachowywać miarę i nie żądać od naszego ubożuchnego społeczeństwa, aby mierzyło się z bogatszemi, mającemi na tym polu zasób doświadczenia i tradycyi.

Ale wejdźmy do „domu szkolnego“.

W pierwszej zaraz izbie na lewo, widzimy przedmioty nadesłane przez zarząd „Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w Studzieńcu“, oraz przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Łóżka, pościel, obuwie i ubranie małoletnich przestępców, świadczą wymownie, że te zbłąkane owieczki, które Towarzystwo osad rolnych na dobrą drogę naprowadza, mieszkają i ubierają się tak wygodnie, że... Uparta myśl! Ile razy zdarza mi się widzieć pupila osady studzienieckiej, lub słyszeć o nim — tylokrotnie stają mi przed oczami setki, tysiące, dziesiątki tysięcy dzieci nędznych, bosych, na pół nagich, pracujących ciężko i nie wyciągających wychudłych rączek po cudzą własność... No, ale jest tak na świecie i przerobić tego porządku najrzewniejszy nawet, najserdeczniejszy, choćby krwią i łzami pisany artykuł dziennikarski nie zdoła. Dajmy więc pokój wszelkim ubocznym refleksyom.

Ubranie, obuwie, czapki i w ogóle cała garderoba studzienieckich pupilów, jest wyrobiona własnemi ich rękami. Łóżka są żelazne, pościel wygodna, ciepła i miękka. Naturalnie nie na sprężynach i edredonach spoczywają po pracy, ale mają dobre sienniki, płócienne prześcieradła, poduszki i kołdry.

Towarzystwo Dobroczynności, ta stara instytucya tyle mająca zasług po za sobą, wystawiła w tejże izbie, w szafie oszklonej, ubrania letnie i zimowe starców i sierot zostających pod opieką towarzystwa.

W drugiej izbie, z prawej strony, znajduje się bardzo ciekawy (a jeżeli tylko w zastosowaniu praktyczny — to nieoceniony) aparat Wulfa, za pomocą którego człowiek pracujący w pokoju, może oddychać powietrzem zewnętrznem bez narażenia się na zaziębienie. Dla ludzi pracujących umysłowo, zmuszonych do przepędzania całych dni i nocy w dusznym, zamkniętym pokoju, dla chorych którym wychodzić z mieszkania niewolno — taki aparat może oddać znakomite usługi. Idzie tylko o to, czy przyrząd rzeczony da się dobrze zastosowywać w użyciu praktycznem? Na to pytanie sędziowie wystawy dadzą nam odpowiedź.

Obaczmy teraz właściwy dział szkolny, mieszczący się w drugiej i trzeciej izbie po stronie lewej od wejścia. Naprzód tedy ławki: kwestya ławek szkolnych oddawna już zajmuje uwagę pedagogów i hygienistów. Krótkowzroczność uczniów, skrzywienie łopatek, słabe rozwinięcie się klatki piersiowej — po większej części pochodzą ze złego urządzenia ławek szkolnych. Młody organizm łatwo ulega zboczeniom, wtłoczony w ciasną, nieodpowiednio zbudowaną ławkę, za wysoką lub zanadto nizką znowuż staje się krzywym i schorzałym—na co już późniejsza, choćby systematycznie przeprowadzona kuracya nie poradzi. Zawieszona na ścianie fotografia kilku chłopców przedstawia w sposób bardzo widoczny, co zła i nieodpowiednio zbudowana ławka szkolna wyrabia z łopatkami dziecka, jak szkodliwie wpływa na rozwój całego ciałokształtu.

Ławki szkolne znajdujące się na wystawie, są tak zbudowane, żeby dziecko mogło w nich pracować swobodnie, wygodnie, a przede wszystkiem bez szkody dla zdrowia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Doktor Gustaw Fritsche, oddający się z tak wielkiem poświęceniem urządzaniu kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci, złożył sprawozdanie ze swej czynności w roku zeszłym w połączeniu z latami poprzedniemi. Według szczegółowego wykazu w samym roku zeszłym, ofiary pieniężne z remanentem roku 1885 i z dochodem ze sprzedaży kwiatów wyniosły razem rs. 3,650 kop. 81.

Za pieniądze te wysłano do różnych miejscowości w roku ubiegłym, dzieci 245, ogółem zaś przez lat pięć od urządzenia w roku 1882 pierwszych kolonii, korzystało z nich dzieci 721. Wydatki w roku zeszłym wyniosły razem rs. 3,689 kop. 33 czyli więcej od dochodu o rs. 38 kop. 52.

Wszystkie dzieci, powiada sprawozdawca, po czterotygodniowym pobycie na wsi powróciły w wyśmienitym stanie zdrowia, czego sama powierzchowność jasno dowodziła. Waga i siły znakomicie się powiększyły, u wielu z biednych chorowitych dzieci, bladych, wychudzonych, apetyt znacznie się poprawił, skóra wiotka, obwisła nabrała sprężystości, a muskuły się wzmocniły.

Rzecz bardzo naturalna, że dziecko wątłe i skrofuliczne, źle odziane w zimie, źle karmione, wcale nie dozorowane i przewracające się całemi dniami w blizkości śmietników, rynsztoków cuchnących etc. poprawić się na zdrowiu musi, skoro się dostanie na świeże powietrze, na pola i łąki, do zagajników i lasów, skoro dbają o to, żeby regularne życie prowadziło, pożywienie dostawało posilne i, co najważniejsze, większą część dnia spędzało na świeżem powietrzu.

Kto chce sobie dostarczyć przyjemnego i prawdziwie rozkoszą napawającego widoku, niechaj przyjdzie na pociąg drogi żelaznej, którym dzieci nasze z kolonii wracają. Te okrzyki radości, te głośne powitania rodziców, te prędkie, gorączkowe opowiadania o różnych na wsi wydarzeniach, wreszcie te czułe pożegnania koleżanek lub kolegów z którymi się kilka tygodni spędziło, dozorczyń lub dozorców, jest widokiem prawdziwie rozrzewniającym.

Wyjazd jest niemniej zajmującym. Widzimy tu uszczęśliwione dzieci, które najczęściej po raz pierwszy poza rogatki Warszawy wyjeżdżają, którym uśmiecha się to życie sielankowe pełne uroku, te łąki zasiane kwiatami polnemi, te lasy, w których całą ziemię przedstawiają sobie zasłaną soczystemi jagodami, te dalekie wspólne spacery, te krówki, owieczki i źrebięta, ożywiający krajobraz: wszystko to miesza się w bujnej dziecięcej fantazyi w jeden pełen uroku barwy obraz. Oblicza ich są rozjaśnione, oczki błyszczą w nadziei użycia rozkoszy nieznanego dotąd szczęścia. Widok to musi być piękny skoro zagranicą wyjazd taki stanowi zawsze rodzaj uroczystości w mieście. Pochodowi dzieci najczęściej z rynku na dworzec towarzyszy znaczna liczba ochotników, panie śpieszą z małemi darami jak: piłki, siatki do łapania motyli, kapelusiki, woreczki podróżne, cukiernicy znani z filantropii, a najczęściej ich żony i dzieci zaopatrują małych wojażerów w sucharki i inne łakocie, owoców pomiędzy darami nie brak. Dla dopełnienia tego obrazu dosyć powiedzieć, że wysoko położone osoby biorą udział w tych odjazdach, i tak, jak to już wyżej powiedziałem, w Berlinie następczyni tronu nietylko popiera całemi siłami tę Instytucyę, ale nieraz sama dzieci na dworzec drogi żel. odprowadza. U nas odbywa się to ciszej i spokojniej, niemniej jednak rezultat osiągany jest równie świetny jak zagranicą. Może z czasem społeczeństwo nasze weźmie więcej do serca sprawę kolonii letnich i nietylko materyalnie, jak dotąd popierać ją będzie, ale bezpośrednio przyłoży rękę do ich dalszego rozwoju.

W roku bieżącym, powiada wreszcie doktor Fritsche, umieścimy kolonie nasze w tych samych miejscowościach co i w zeszłym, ponieważ jednakże spodziewam się większą niż w latach przeszłych liczbę dzieci wysłać, upraszam p.p. właścicieli ziemskich, którzyby chcieli pomieścić biedne dzieci u siebie, żeby zechcieli nadsyłać do mnie (Aleja Jerozolimska Nr. 80) odnośne offerty. Warunki są następujące: Potrzebne są 2 izby duże i kuchnia bez żadnych mebli, o ile można w blizkości lasu lub cienistego sadu, niedalej niż godzina jazdy od stacyi Drogi żelaznej, w obrębie Królestwa Polskiego. Pożądaną byłaby woda bieżąca na kąpiel. Dawna a nieczynna gorzelnia, zarzucona karczma lub t. p. są odpowiedniemi na ten cel budynkami. We wsi powinnaby się znajdować kobieta, któraby za umówioną zapłatę podjęłaby się żywić dzieci i nadzorców (około 20 osób).

Kasa Mianowskiego. Komitet zarządzający kasą pomocy imienia Mianowskiego dla osób, pracujących na polu naukowem, ogłosił świeżo sprawozdanie na rok ubiegły. Członków założycieli kasy przybyło w ciągu roku zeszłego 6, członków honorowych 5, członków rzeczywistych 148. Liczba członków rzeczywistych, wnoszących składki, była następująca: W r. 1881/2—635, którzy wnieśli rs. 3831, w r. 1883 członków 557—rs. 3111, w r. 1884 członków 672—rs. 3947, w r. 1885 członków 677—rs. 3784, w r. 1886 członków 750—rs. 4280. Liczba więc uczestników nie przestaje się zwiększać z każdym rokiem. Zapomóg i pożyczek wypłacono w roku zeszłym rs. 17,717 kop. 82. W tymże roku zwrócono komitetowi z dawniejszych pożyczek i zapomóg rs. 2967 kop. 79.

Pożyteczność wydawnictw dziełek o ile można jak najtańszych, powszechnie jest znaną i uznaną. Redakcya Przeglądu tygodniowego pod kierunkiem p. Adama Wiślickiego, już od lat wielu wydawnictwo powyższe prowadzi i dotąd wydała na widok publiczny tomików 84 bez oznaczenia terminu ich wychodzenia, z których każdy złożony z pięciu do sześciu arkuszy druku kosztuje we wszystkich księgarniach *dwanaście kopiejek*, z przesyłką zaś pocztową kop. 15.

Ostatnie dziełko oznaczone N-rem 83 i 84 czyli obejmujące razem dwa tomiki, zawiera przekład Maryi Dzierżanowskiej pracy H. Taine'a p. t. Napoleon Bonaparte. O całem tem wydawnictwie zasługującem na poparcie później złożymy obszerniejsze sprawozdanie.

Krążą wieści, iż niejaka pani Kurowska zamieszkała w Galicyi ma zamiar otworzyć w Warszawie szkołę pływania dla kobiet. Rzecz to wielce pożądana pod każdym względem, bo wzmacnia siły fizyczne, porządkuje nerwy zbyt wrażliwe, zmniejsza wrodzoną lękliwość i przyczynia się wielce do utrzymania zdrowia w należytym harcie.

Wkrótce prywatnemi siłami ma być w Warszawie otwarta Szkoła garncarska i wyrobów glinianych w zakresie artystycznym. Zakład ma być prowadzony przez kobietę i przeznaczony głównie do kształcenia fachowego samych także kobiet.

Volapük. Ośmieszony początkowo volapük zaczyna już we Francyi, Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych być używany do korrespondencyi handlowej. Z początkiem roku bieżącego już przeszło ćwierć miliona ludzi władało tym powszechnym językiem, którego nauka została wprowadzona do paryzkiej „szkoły wyższych nauk handlowych." W Bordeaux odbywają się także kursa volapüku, a w Madrycie wszechświatowa mowa weszła już w program nauk w uniwersytecie. W znanym magazynie „du Printeps" w Paryżu, na wszystkich drzwiach napisane jest volapükon, czyli „tu mówi się volapükiem," właściciel zaś magazynu i 125 u jego officyalistów władają płynnie nowym językiem; uczą się też mowy tej lokaje i kelnerowie pierwszorzędnych hotelów. Sprawdza się tedy przysłowie, że nic łatwiej się nie przyjmuje jak głupstwo.

W Kalifornii wznosi się na kilka tysięcy stóp nad poziomem morza góra Hamilton, na której jeden z amerykańskich Krezusów, nazwiskiem Lick uwiedziony zapałem dla królowej nauk, poświęcił kilka ze swoich milionów na zbudowanie obserwatoryum i olbrzymiego niebywałego dotąd teleskopu. Obecnie budowa tej „spostrzegalni" jak chcą koniecznie nazywać niektórzy, została już ukończoną i największy na ziemi teleskop oddany będzie za dni kilka w ręce niecierpliwych i ciekawych astronomów. Jeżeli mamy wierzyć dochodzącym nas ztamtąd wiadomościom, nowy teleskop przewyższa wielkością i siłą zbliżania wszystkie dotąd znane. Żeby wyrazić to na przykładzie, powiemy, iż powierzchnia księżyca zbliżona ku nam zostanie do 25 mil; to jest, że księżyc, który obecnie odległy jest od ziemi o 50,000 mil, obserwowany przez nowy teleskop będzie wydawać się tak wielkim, jakby rzeczywista jego odległość od nas wynosiła tylko 25 mil.

Co za rozkosz! Będziemy mogli czytać nazwy ulic w miastach księżycowych, a ponieważ zapewne i tam istnieje zwyczaj nadawania ulicom nazw wielkich ludzi, będziemy więc mieć sposobność zaznajomienia się ze sławnymi jenerałami, dyplomatami i pisarzami księżyca. Przecież już pewien profesor astronomii w Monachium, widział ruiny jakiegoś miasta, my za pomocą nowego teleskopu, z cegiełek, gruzów (jeżeli dotąd istnieją) jak z odkopanego z ziemi noża krzemiennego, będziemy mogli wyprowadzać wnioski o życiu i zwyczajach mieszkańcach naszego satelity.

Praktyczne. Jeden z naszych spółpracowników rekomenduje czytelnikom wypróbowany sposób klejenia szkła, wyłącznie jednak przedmiotów szklanych, które nie mają styczności z wilgocią.

Sposób polega na tem, aby brzegi stłuczonego przedmiotu silnie natrzeć czosnkiem, którego klejsty sok doskonale spaja szkło, następnie przedmiot związać, owinąć w papier i potrzymać na słońcu przez parę godzin.

Przez ten czas zapach czosnku wywietrzeje a szkło doskonale sklei się, pozostawiając zaledwie maleński ślad w miejscu gdzie było rozbite, przytem sklejenie jest bardzo długotrwałe.

Probatum est!

W Gazecie Radomskiej pan M. powiada:

W r. 1835-ym, gdym przybył do Kielc, żył jeszcze stary ksiądz Obrączka, przy kolegiacie.

Ten Obrączka za księztwa Warszawskiego służył w wojsku i w późnym już wieku wstąpił do seminaryum, gdzie siedział lat kilka, bo nauki w głowę mu nie lazły.

Biskup Woronicz, ujrzawszy podczas wizyty staruszka między alumnami, zapytał regensa seminaryum, księdza S., ktoby to był taki?

— E, to Obrączka, proszę waszej ekscelencyi, Bóg wie po co do nas przyszedł, bo on nigdy księdzem niebędzie.

— Dlaczego?

— Bo nic się nauczyć nie może.

— Niechby tylko obznajmił się z procedurą kościelną, wyświęciłby go można.

— Przekona się wasza ekscelencya, jaki to hebes.

A chcąc tego dowieść i zmieszać biedaka niebywałą kwestyą, zapytał go nagle:

— Obrączka, słuchaj no wasan, gdyby na ten przykład, dziecko konało, a wasan nie miał nic pod ręką, tylko... na ten przykład... rosół, czy można nim ochrzcić, czy nie?

Stary bywalec bez zająknienia palnął odpowiedź:

— Jeżeli taki, jaki u nas w seminaryum dają, to można bez żadnej obawy.

— A to ci uciął, mości regensie — rzekł na to biskup. — No, to ja już sam go egzaminować będę.

Jakoż wziął Obrączkę w swoją opiekę i wkrótce go wyświęcił, przekonawszy się, że kandydat ma dostateczne przygotowanie i prawdziwe powołanie.

* * *

Złodziejski bankiet. W Glasgowie odbył się bankiet, na który rozesłane zostały bilety z następującem objaśnieniem:

„Bilet dający prawo złodziejom uczestniczenia w bankiecie, na którym będzie pasztet ze zwierzyny i plumpudding. Uczta rozpocznie się o godzinie w pół do siódmej wieczorem w sali Talbota przy ulicy Hay street. Uczestniczyć mogą tylko osoby, ktore były karane sądownie za kradzież. Ned-Whrigt z Londynu, były bokser, który pokutował w więzieniu za kradzież z włamaniem się, będzie mieć zaszczyt udzielić pewnych informacyi i zarekomendować wiele doświadczonych i bardzo praktycznych środków, które mogą w danym razie przydać się uczestnikom. Ponieważ liczba gości ograniczoną została tylko do 150 osób; uczestnicy pragnący zająć miejsce przy stole zechcą zastosować się z przybyciem do oznaczonej godziny".

Na drugiej stronie biletu wydrukowano:

„Osoby które nie życzyłyby sobie, aby ich przybycie było spostrzeżonem, mogą wejść furtką przez podwórze sąsiedniego domu".

Wszyscy goście musieli przedstawić się gospodarzowi Ned-Whrigt i wielu nie zostało wpuszczonych z powodu, iż nie mogli przedstawić dowodów pobytu w więzieniu za kradzież. Na bankiecie nie było wcale trunków i toastów.

Córka Neda-Whrigt'a, wcale nieźle grająca na skrzypcach, wykonała kilka mniejszych utworów. Wszyscy goście zachowywali się tak przyzwoicie i mieli maniery takich dżentelmenów, że uczestniczący w bankiecie reporter jednej z angielskich gazet, robi uwagę, iż zebrane towarzystwo w niczem nie różniło się od towarzystwa każdego londyńskiego klubu. Ciekawa tylko rzecz czy się wzajemnie nie pookradali.

* * *

Salto mortale przed sądem. Wesoła scena przerwała niedawno przebieg suchych rozpraw sądowych w Brukselli. Akrobata jakiś wniósł skargę przeciw dyrektorowi cyrku o honoraryum, którego dyrektor zapłacić nie chciał, twierdząc, iż skarżący nie jest w stanie wypełniać obowiązków do jakich go zaangażowano. Obrońca akrobaty natomiast upewniał, iż klient jego jest wybitnym w swoim fachu artystą i wykonywa zdumiewające sztuki. „Jeżeli panowie pozwolą," — zakończył adwokat, — „klient mój w tej chwili złoży dowód w oczach panów." Zaledwie adwokat wymówił te słowa, artysta nieczekając na pozwolenie, zrzucił surdut, zmierzył dużemi krokami salon wziął rozpęd, i wykonawszy z wielką zręcznością podwójnej *salto mortale*, stanął tuż przed stołem sędziów i z uśmiechem złożył tradycyjny ukłon. Sędziowie zkamienieli ze zdumienia, audytoryum było zachwycone, a gdy spokój powrócił, sąd odroczył sprawę i postanowił, aby skoczek złożył jeszcze kilka dowodów, lecz już nie w sali sądowej, swojej zręczności, zanim wyrok zostanie wydany.

* * *

Wart pałac Paca i Pac pałaca.

— Powiedz mi mój drogi, czy kochasz mnie?

— Jakże się możesz o to pytać?

— Czy miłość twoja jest rzeczywiście tak wielką, że jesteś dla mnie gotów do wszelkiej ofiary?

— Jest taką, moja najdroższa i nie ma nic na świecie takiego czego mógłbym ci odmówić, choćby nawet ofiary z życia własnego.

— A więc drogi mój i ukochany, zrzeknij się miłości dla mnie...

— Jakto?

— Od trzech bowiem tygodni kocham innego daleko więcej od ciebie. Wszak prawda, że uczynisz to dla mnie, mój drogi, jedyny?

— I owszem, z największą przyjemnością, oh! ty jedyna bogdanko serca mego.

OD REDAKCYI.

☞ Tom ósmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

GALERYA DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 22 wyszedł z druku i zawiera:

Pieczary w Luray w Wirginii (z drzewor.). —Maj (wiersz). — Hetmański piastun. — Koza dzika (zdrzew.) — Z pamiętników Jana Chryzostoma Paska (zdrzew.). — Z sierocej doli. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Mały Robinson.—Słoneczko (wiersz). — Różne awantury podczas puszczania balonu (z drzew.)—Do skowronka (wiersz). Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Мая 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 22.

N. 1. Kostyum spacerowy letni.

Kostyum spacerowy składa się z sukni perkalowej, dopasowanego do niej parasolika *en-tout-cas*, i kapelusza bastowego, ubranego materyałem sukni. Do ozdobienia sukni i parasolika służy tasiemeczka koronkowa $1/2$ cent. szeroka, odpowiedniego koloru, którą naszywa się na trzech zakładkach wolantu w górze zmarszczonego, przykrywającego spódnicę. Pod stanik z dwoistym szerokim kołnierzem, otwarty w górze i u dołu, dodana jest kamizelka marszczona z kanwy kongresowej; rękawy z mankietami w ząb ściętemi, podszyte pliską z kanwy. Na fartuszkową draperyę z przodu, potrzeba bryta 75 cent. długiego a 130 szerokiego, a na suto podpiętą draperyę tylną, dwóch nie zeszytych z sobą na środku brytów, trzymających po 100 cent. w kwadrat.

N. 2 i ryc. 15 w N-rze 23. Płaszczyk podróżny. Forma na dodatku z krojami N. III fig. 16—20.

Zgrabny świeżego fasonu płaszczyk odrobić można z bastu lub alpagi gładkiej, ubrany materyą w kratę, albo z materyału w kratę, ubrany materyą gładką. Najpierw trzeba przody i plecy przykrojone podług fig. 16 i 17 zeszyć ze sobą, a dodane do pleców fałdy ułożyć i zaszyć. Następnie części peleryny fig. 18 A i 18 B złożyć i przykroić w jednym ciągu wraz ze spuszczoną z tyłu draperyą; naszyć na brzegach przednich ranwersy, a pod wachlarzowe fałdy z tyłu dać podszewkę z materyi, oznaczoną skośnemi kryseczkami na małym modelu fig. 18 a; wykrój górny od *t* do *m* wszyć w kołnierz fig. 20. Tylny brzeg peleryny od *q* do dołu przyłożyć na plecach i przyszyć w miejscu oznaczonem cienką linijką na fig. 17. Wystające w górze części peleryny złożyć od spodu w cztery fałdy, a brzegi schodzące się z tyłu na środku, zeszyć ku dołowi na 20 cent. długości. Fałdy wachlarzowe ułożyć i przyczepić niewidocznemi ściegami na tylnych brytach płaszczyka. Do kołnierza stojącego z wyłożonym na wierzch kołnierzykiem z materyi, przyszywa się szwem obrąbkowym, górny brzeg kapturka podszytego materyą w kratę i zeszytego od *r* do *s*.

N. 3. Paletocik krótki dla niedorosłej panienki. Krój i plecy na dodatku z formami N. II fig. 9—15.

Tylko przy prawej na wierzch zachodzącej połowie przodu, wywija się ranwers, oznaczony linijką na fig. 9; przecięcia do kieszonek przyszytych od spodu, trzeba dwa razy ostębnować. Szew środkowy pleców zeszywa się tylko od góry do *W*. Przyszycie wywiniętych mankietów na rękawach, oznaczone jest gwiazdką i dwukropkiem; kołnierzyk stojący zapina się na haftki. Paletocik z sukna w paski ciemno i jasno piaskowe, zdobiły od spodu podłożone, dwa razy z wierzchu przestębnowane, 3 cent. szerokie, w ząbki wycięte, paski z sukna jasno brązowego.

N. 6, 14, oraz ryc. 14 i 21 w N-rze 23. Suknia ubrana koronką. Krój na dodatku z formami N VII, fig. 33—34.

Ryc. 14 w N-rze 23 przedstawia z tyłu suknię odrobioną z czerwonego perkalu w rzucik biały, ubraną kremową gipiurową koronką, na rycinie 14 w numerze dzisiejszym widzimy lewy bok sukni, odrobionej z gładkiego materyału, a na ryc. 6 oddzielnie sam stanik z baskiną wyciętą w zęby. Ryc. 21 w N-rze 23 przedstawia przód spódnicy od sukni czarnej jedwabnej, dopełnionej mantylką. Podszewkową spódnicę podszytą od spodu listwą 35 cent. szeroką, z włosiennego materyału, pokrywa z tyłu wolant 53 cent. szeroki, a z przodu bryt plisowany aż do paska dochodzący. Przednią, szalową draperyę do której model kroju przedstawia litera *a*/fig. 34, sfałdowaną z bocznych brzegów do 12 cent., przyszywa się z lewego boku w odstępie 38 cent. od wszycia spódnicy w pasek, a z prawego w odstępie 18 cent. Górny brzeg tylnego bryta *b* od 1 do 35 sfałdować i wszyć w pasek, od 35—75 przyszyć przy brzegu rozporka z jednej strony, a część skośnie sfałdowaną podług znaków i brzeg górny do 86, z drugiej strony przy rozporku; od gwiazdki do gwiazdki złożyć w pukiel, a resztę aż do 130 znów sfałdować i wszyć w pasek. Krzyżyki i punkty wskazują podpięcie bocznych brzegów i w środku bryta. Teraz zaczyna się garnirunek z koronki 34 cent. szerokiej, której oprócz do oszycia draperyi przedniej u dołu, potrzeba dwóch kawałków 450 cent. długich. Jeden z nich w poprzecznym brzegu przyfałdowany, przyszywa się z prawego boku poniżej wszycia w pasek, przeprowadza w płaski ząb z przodu na spódnicy, dalej z lewego boku przy szwie tylnym spuszcza się do brzegu dolnego i złączony górnemi brzegami do środka, podnosi się w górę, a resztę pozostałą naszywa się wachlarzowo na środku tylnej draperyi. Drugi kawałek koronki przyszywa się z lewego boku 16 cent. gładko przy pasku, przechodzi na dół przy prawym brzegu szwa bocznego, zawraca do góry, przypina na haftki na wcięciu w pasie i ginie w tylnej draperyi sposobem wskazanym na ryc. 14 w N-rze 23. Fig. 33 wskazuje w jaki sposób dodaje się szpiczaste patki do stanika, osoby nieobeznane z krojem muszą kupić formę dopasowaną do figury. Otwarte kaftaniczkowe przody stanika i kołnierz zdobi koronka wywinięta. Kamizelka zapięta z przodu niewidocznie na haftki, pokryta zmarszczoną koronką. Ładnie zdobią stanik małe w kształcie motyli kokardki, ze wstążeczki pąsowej z pikotami $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, z których 5 upięte jest z tyłu na krótkiej baskinie pleców reszta na kołnierzu i rękawkach. Kokardy i szarfy przy draperyi są ze wstążki 6 cent. szerokiej.



N. 1. Ubranie letnie.

N. 2. Płaszczyk od kurzu lub podróżny. Patrz ryc. 15 w N-rze 23. Krój na arkuszu N. III, fig. 16—20.

N. 7—9. Stanik z baskiną skośnie zapinany. Model kroju N. VI fig. 32.

Stanik z jasno brązowego wełnianego materyału i z jedwabnej materyi brązowej w białą kratkę, miał kołnierz, ranwersy i mankiety z ciemno brązowego aksamitu, z wypustkami z materyi. Kamizelkę na której stanik zapina się skośnie, pokrywa materya złożona w fałdy, sposobem wskazanym na ryc. 7, i z jednej strony przyszywa, a z drugiej przypina na haftki do stanika. Ryc. 8 przedstawia oddzielnie zgrabną baskinę pleców, a ryc. 9 wskazuje z lewej strony staranne odszycie stanika. Guziki kwadratowe z konchy perłowej.

N. 13. Robota na drutach, ściegiem pluszowym z różnych resztek włóczki.

Do tej bardzo łatwej roboty, służącej do kap, dywaników przed łóżka i t. p., zużytkować można wszelkie resztki włóczek; jeżeli włóczki są różnych gatunków, cienkie składają się podwójnie i potrójnie. Model odrobiony był z włóczek kastorowych. Różno kolorowe włóczki mieszają się najrozmaiciej, tną na kawałki 9 cent. długie i wiążą sposobem wskazanym na próbce. W środku zostawia się na oczka po trzy cent., końce równo złożone po związaniu w węzeł mają mniej niż po 3 cent. długości, i są przedzielane 1 oczkiem. Pasy dowolnej szerokości robić gładko tam i napowrót, odwracając końce zawsze na prawą stronę; po skończeniu zeszywać je z lewej strony.

N. 21—23. Fasony kapeluszy.

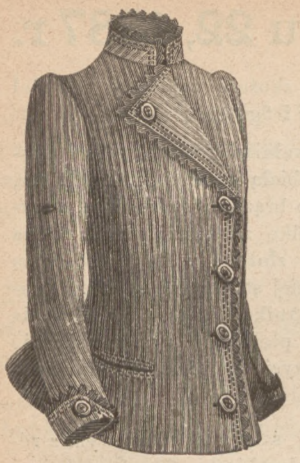
Lekki łyczkowy kapelusz ryc. 21, ma trochę szpiczastą główkę 15 cent. wysoką, rondko z przodu 11, z tyłu 6 cent. szerokie. Do ubrania służyć może koronka, gaza lub wstążka gazowa, oraz kwiaty polne i trawy. Ryc. 23 przedstawia kapotkę z główką tylko $4\frac{1}{2}$ c. wysoką, stanowiącą zupełne przeciwieństwo do tak upowszechnionych zbyt wysokich główek. Taką kapotkę kładzie się na tył głowy, a rondko w górę odstające z przodu 9 cent. szerokie, zapełnia suty garnirunek nad czołem. Model pleciony był z cienkiej słomki niebieskiej pąsowej i brązowej. Główka kapotki bastowej ryc. 22 miała 10 cent. wysokości, a rondo dyademowe z zębem na środku, miało wraz z nim $6\frac{1}{2}$ cent. szerokości.

N. 25. Firanka ozdobiona haftem krzyżykowym lub gobelinowym. Desenie na arkuszu z krojami fig. 38 i 39.

Model firanki zdobiącej schody łączące górne pokoje z dolnemi odrobiony był ściegiem krzyżowanym, różno kolorową filozelą nierozdzielaną, na tle z grubej flaneli ciemno brązowej. Fig. 39 daje deseń rzutu haftowanego w mijających się rzędach. Po przeniesieniu desenia na tło, haft odrabia się bez wywodzenia ściegiem krzyżowanym którego próbkę damy na ryc. 32 w N-rze 23; w takiej robocie tło przebija pomiędzy ściegami. Na modelu kwiaty robione były kolorem pąsowym i niebieskim do cieniu a gałązki i liście cieniami trawno zielonemi. Firanka przyczepiona do pręta ruchomego żelaznego, przytwierdzona była do poręczy od schodów.

N. 27—28. Czepeczek z dyademowym garnirunkiem dla dam w podeszłym wieku. Forma na dodatku z krojami N. XVIII fig. 75—76.

Denko czepeczka przykroić trzeba z czarnego deseniowego tiulu, podług fig. 75, a czółko ze sztywnego tiulu, podług fig. 76. Denko przyfałdowane z przodu podług krzyżyków i punktów, przyszywa się do prostego brzegu czółka, a w brzeg tylny obrąbiony nawlóczy się elastykę. Przedni brzeg czółka ogarnirować lekko przyfałdowaną koronką, 4 cent. szeroką, którą w dalszym ciągu oszyć wstążki do wiązania



N. 3. Paletocik dla młodej panienki. Krój i plecy na arkuszu N. II, fig. 9—15.

pod brodą. Górną część denka pokrywa kawałek tiulu 23 cent. szeroki a 34 długi, z przedniego brzegu i z boków przyfałdowany, z brzegu tylnego oszyty koronką, a na środku przymarszczony. Przedni garnirunek stanowi koronka 8 cent. szeroka, ułożona w podwójne kontrafałdy, którą nad czołem przyszywa się do czółka stojąco prosto w górę i przepina kokardami z wstążki lila, a z boków nachyla do twarzy i przyczepia nieznacznie. Z tyłu kokarda zmieszana z koronką.

N. 29. Kapelusz okrągły ryżowy dla małej panienki.

Zobaczyć także ryc. 19 w N-rze 23.

Model kapelusza z włoskiej słomy, z główką trochę szpiczastą, 11 cent. wysoką, z rondem 9 cent. szerokiem, ubrany był wstążką białą z pikotami 7 cent. szeroką, opasaną koło główki i zakończoną z przodu kokardą. Pod sutą rozetą ze wstążki podpinającą rondo z jednego boku przypięte jest białe strusie pióro 53 cent. długie; druga rozeta przypięta z tegoż boku na główce.

N. 30. Czepek dla dam w podeszłym wieku. Krój N. XIX fig. 77.

Na fig. 77 dajemy model kroju i miary czepka, a zarazem wskazujemy w jaki sposób denko zeszywa się ze wstążki aksamitnej i koronki czarnej gipiurowej, następnie fałduje podług znaków od gwiazdki do dwukropka do 10 cent., resztę zbywającą w drobne fałdki zakłada i przyszywa do czółka w ząb nad czołem i przy punkcie zaszytego. Tylny brzeg denka obrąbić i wewlec elastykę. Koronkę 7 cent. szeroką od punktu do punktu na czółku przyszyć przymarszczoną, a od punktów do dwukropków wachlarzowo naszyć; na co potrzeba 150 cent.

Drugi kawałek koronki 38 cent. długi, przyszyty do tylnego brzegu czółka od punktu do punktu, spada na denko. Nad czołem zdobią czółko dwie rozety z podwójnie złożonej i zmarszczonej koronki z puklami z aksamitki. Do wiązania pod brodą wstążki aksamitne.

N. 31 i ryc. 17 w N-rze 23. Bluza podróżna z karczkiem. Forma na arkuszu z krojami N. V fig. 24—31.

Bluzkę odrobić można z surah, bastu, fularu albo satynki; model zrobiony był z surah czerwono ognistego koloru. Górne brzegi przodów trzeba do krzyżyka zmarszczyć i wszyć pomiędzy wierzch i podszewkę karczka, od 3 do 4. Także przymarszczone plecki bluzy wszyć między wierzch i podszewkę karczka; następnie dolny jego brzeg przestębnować dwa razy, a górny podkrój wszyć w kołnierz $3\frac{1}{2}$ cent. wysoki. Pod bufiaste rękawy dać krótką, gładką podszewkę, a u dołu od 17 do gwiazdki zmarszczyć i wszyć w szeroki mankiet. Na wcięciu w pasie obciska bluzkę pasek 4 cent. szeroki.

N. 32. Pasek. Do staników bluzkowych zaczynają znów używać odmiennych pasków.

Model do ryc. 32 zrobiony był ze wstążeczek 1 i $1\frac{1}{2}$ cent. szerokich ciemno łososiowego koloru, naszytych na sztywno podłożonym pasku 4 cent. szerokim. Środkową węższą wstążeczkę pokrywała wstawka koronkowa, a na szerszych brzeżnych, naszyte były kamienie szklanne. Koniec paska wsunięty w przepięcie; kokardy i końce z szerszej wstążeczki.

N. 33 i ryc. 24. Ubranie do konnej jazdy: stanik, spódnica i majtki. Forma na dodatku z krojami N. X i XI fig. 51—58.

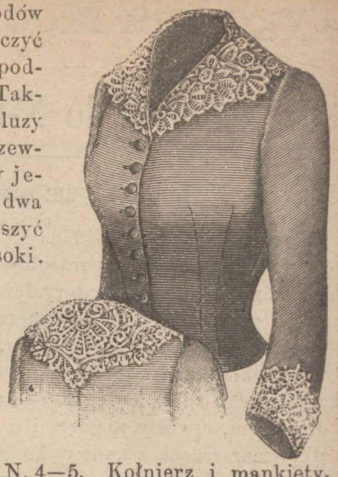
Model do ryc. 33 i 24 odrobiony był z czarnego dubeltowego *jersey*. Pod stanik zakończony z przodu w ząb bawetowy, a z tyłu krótką baskiną, daje się jedwabną podszewkę, która tak jak u ubrań męzkich szyje się oddzielnie, a wierzch oddzielnie, następnie z brzegów łączą się razem, bo tym sposobem lewa strona stanika lepiej się przedstawia. Dwie małe, boczne kieszonki stanika zakończone są patkami $5\frac{1}{2}$ cent. długiemi a $2\frac{1}{2}$ szerokiemi. Stanik z przodu i 9 cent. długie rozporki rękawów, zapinają się na małe materyałem oszyte guziki. Pod majtki podane oddzielnie na ryc. 24, daje się mocną podszewkę w górze, w miejscach oznaczonych cieniowaniem, na fig. 55a i 56a; w górnym brzegu daje się cztery zaszewki, które zwężają go do objętości paska fig. 57. Boczne brzegi z jednej strony zeszyte są aż do brzega, z drugiej od *c* do dołu zostawia się rozporki, zakończone listewkami, zapinane na guziczki. Do brzegów dolnych zakończonych obrębem, przyszywa się strzemiączka z taśmy elastycznej. Dużej wprawy i umiejętności wymaga



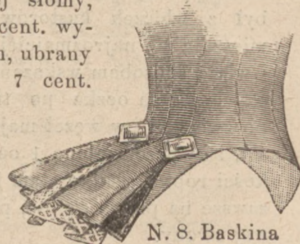
N. 6. Stanik z baskiną wyciętą w zęby. Patrz r. 14.



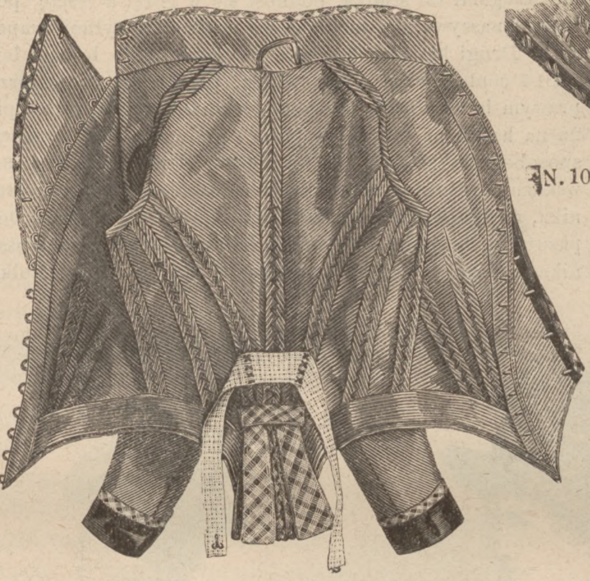
N. 7. Stanik skośnie zapięty. Patrz ryc. 8—9.



N. 4—5. Kołnierz i mankiety. Haft wenecki patrz r. 4 w N. 23, deseń fig. 83.



N. 8. Baskina z tyłu fałdowana, do stanika r. 7 i 9.



N. 9. Stanik ryc. 7 przedstawiony z lewej strony. Patrz ryc. 8. Krój na arkuszu N. VI, fig. 32.



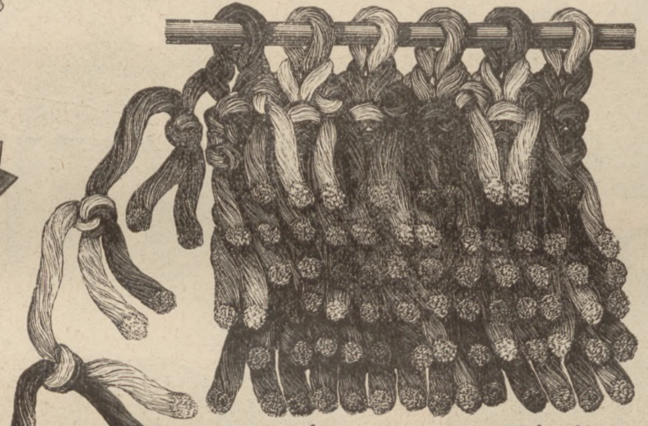
N. 10. Rękaw do sukni r. 15.



N. 11. Okrycie krótkie. Krój na arkuszu N. IV, fig. 21—23.



N. 12. Okrycie z szalowemi końcami. Krój na ark. N. XIV, fig. 66—67.



N. 13. Ścieg pluszowy z resztek włóczki.



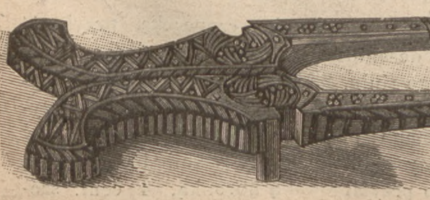
N. 14. Suknia przybrana koronką. Patrz ryc. 6, tudzież 14 i 21 w N-rze 23. Krój na arkuszu N. VII, fig. 33—34.



N. 15. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 10, tudzież ryc. 22 w N-rze 23. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—8.



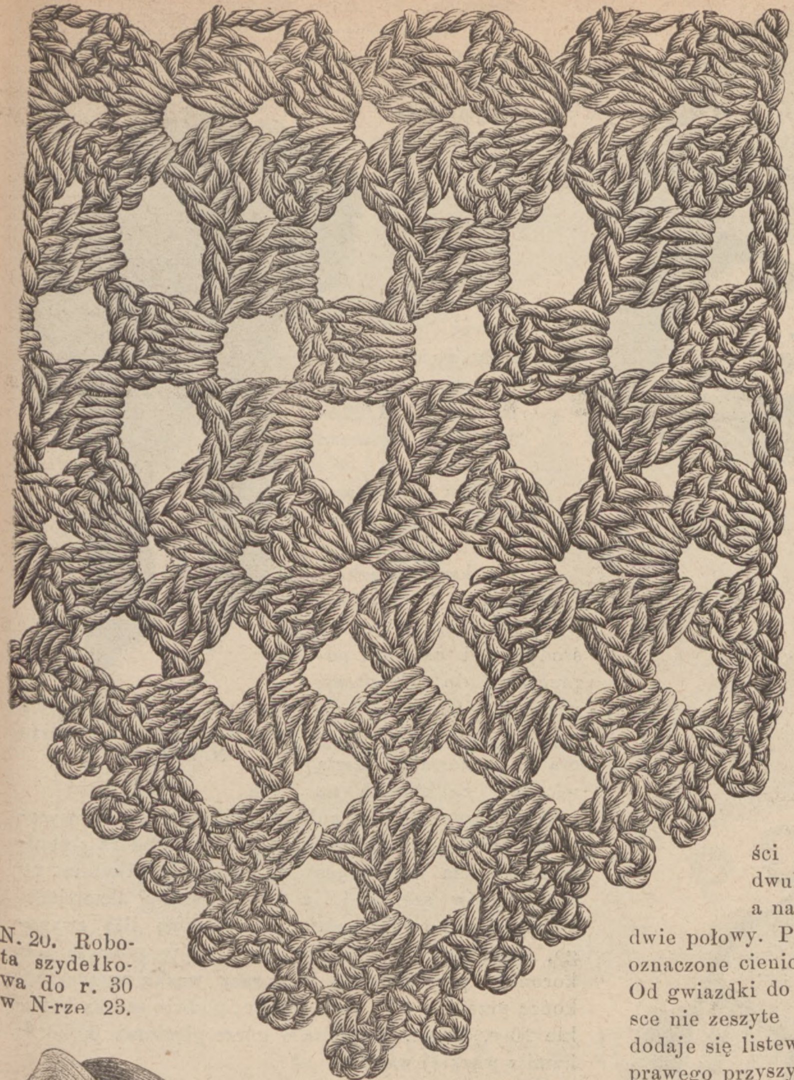
N. 16—17. Vêtement do sukni ryc. 23 w N-rze 23. Krój na ark. N. IX f. 48—50.



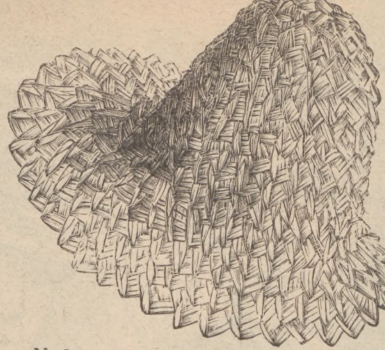
N. 18. Chłopiec do butów. Patrz ryc. 19. Deseń fig. 41—42.



N. 19. Chłopiec do butów. Patrz ryc. 18.



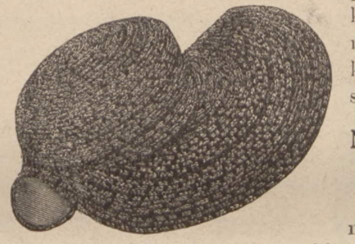
N. 20. Robota szydełkowa do r. 30 w N-rze 23.



N. 21. Kapelusz pleciony z łyczka.



N. 22. Kapotka bastowa.



N. 23. Kapotka z kolorowej słomki



N. 24. Majtki do jazdy konno. Krój na ark. N. XI, f. 55—57.

uszycie spódnicy złożonej z dwóch części, z miejscami dopasowanemi na kolana, w której przecięcia i zaszewki muszą być tak dokładnie dopasowane, żeby spódnica obciśle i gładko przylegała do figury. Mały model kroju i miary przedniej części dajemy na fig. 58*a* i 58*b*. Najpierw trzeba oddzielnie w każdej części zaszyć zaszewki od gwiazdki do dwukropka i od krzyżyka do punktu, a następnie dopiero złączyć ze sobą dwie połowy. Pod miejsca otaczające zaszycie na kolana, oznaczone cieniowaniem na fig. 58, trzeba dać podszewkę. Od gwiazdki do góry zostawia się w szwie bocznym, miejsce nie zeszyte na rozporek, do którego lewego brzegu dodaje się listewkę z obrobionemi dziurkami, a z brzegu prawego przyszywa się guziki do zapinania. Przy rozporku przyszyta jest także kieszeń. Górny brzeg spódnicy wszywa się w pasek kolisty 3 cent. szeroki, a dolny podszywa się listwą 9 cent. szeroką.

N. 34. Suknia z bawetowym stanikiem.

Model sukni odrobiony był z czarnej koronki na czarnem jedwabnem podwleczeniu z surah; zgrabny stanik miał także jedwabną podszewkę, pod rękawami wcale podszewki nie było. Z pod sznurowanego niedochodzącego się z przodu stanika, przeglądał plastron perełkowy, kołnierz wysoko stojący z ranwersem i agrafy przy draperyi i na rękawach także perełkowe. Głęboki wykrój kwadratowy ogarnirowany szeroką czarną koronką. Pióra pąsowe, także wstążka na szyi i kokardy.

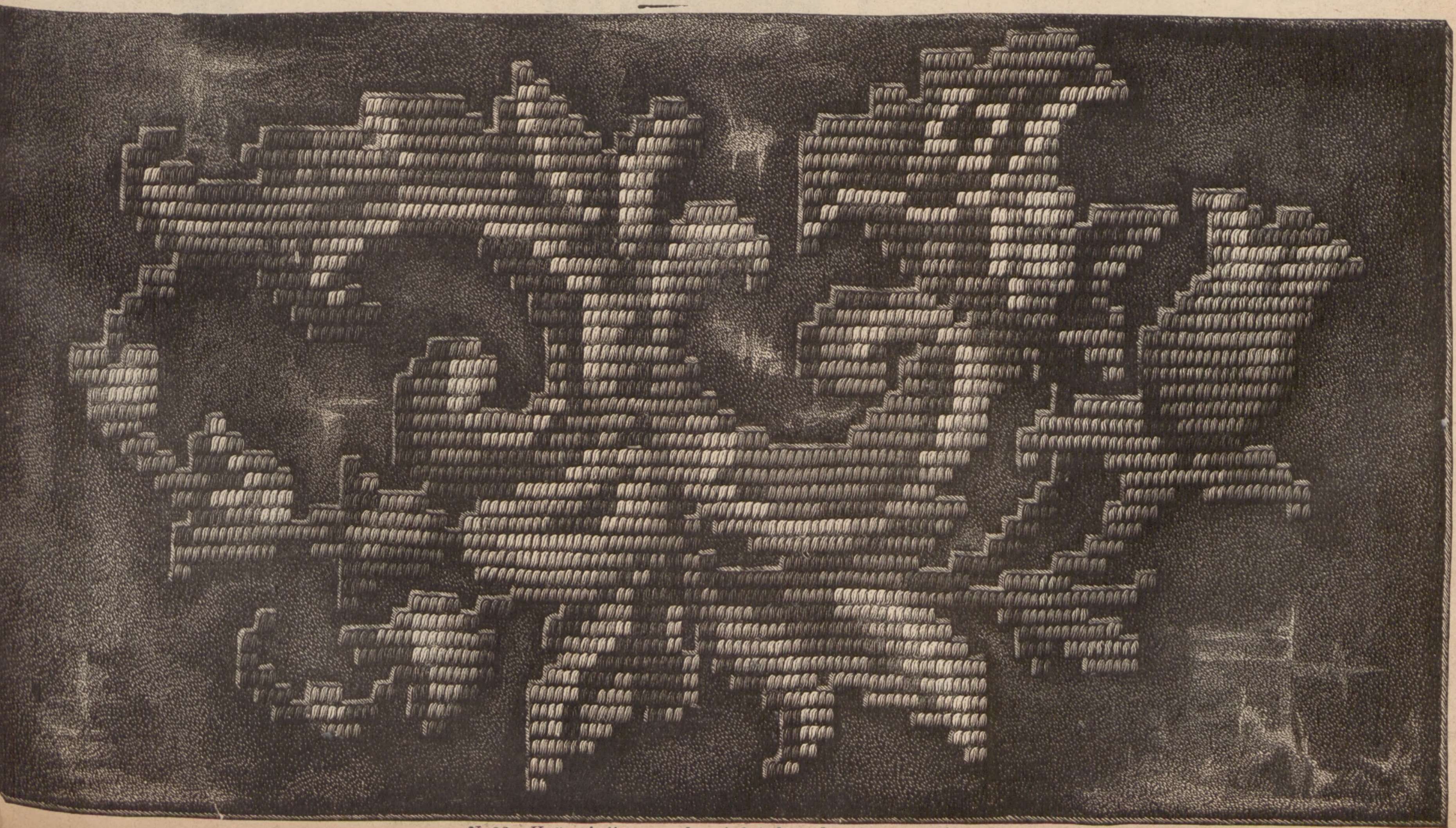
Opis do N-ru 23.

N. 1. Serwetka do mebli. Haft ściegiem pojedyńczym i kratki ażurowe. Deseń na dodatku z krojami fig. 89.

Tło serwetki trzymającej 16 centym. w kwadrat było z białej kanwy Jawa na której bawełną pąsową wyszyta gwiazda fig. 89, otoczona w odstępie 1 cent. ramką wyszytą ściegiem sznu-



N. 25. Firanka z haftem krzyżykowem. Deseń patrz fig. 39.



N. 26. Haft gobelinowy, odpowiedni do poduszek, serewet i t. p.

reczkowymi kratką ażurową, na którą wyciąga się sześć podwójnych nitek, a pozostałe podłużne nitki wiąże się w grupy po 3 razem. W narożnikach dane pajączki bawełną pąsową; frendzla wysiepana 2 cent. szeroka.



N. 27. Czepeczek dla osoby starszej. Patrz ryc. 28. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 75—76.



N. 28. Czepek dla osoby starszej. Patrz r. 27.



N. 29. Kapelusik okrągły dla dziewczynki.



N. 30. Czepek dla osoby starszej. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 77.

N. 2. Serwetka z wyszyciem jednakowem na dwie strony. Deseń patrz figurę 88. Liczy w kwadrat 18 cent. i ma na tle z białej kanwy Jawa wyszyty niebieską bawełną deseń skrzyżowany, którego czwartą część daje fig. 88; nad frendzlą wysiepaną z materyału brzegi odziergane są bawełną pąsową.

N. 3 i 19. Suknia z bretelkami, dla panienki lat 11—13. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 59—65.

Rycina 3 i 19 przedstawiają przód i plecy sukienki, przybranej żółtawym szwajcarskim haftem i bretelkami z granatowego aksamitu, odrobionej z pąsowego perkalu, albo z granatowego kreponu w kratkę. Linija cienka na fig. 59 i 61 oznacza przyszycie na haftowanym karczku materyału zwierzchniego z przodu i na plecach przemarszczonego u góry w nagłówek 1 cent. szeroki, w pasie zaś 5 cent. wysoko. Bretelki aksamitne fig. 64—65, przytrzymane są na ramionach kokardami przewleczonemi przez przecięcia. Stanik zapina się z przodu na haftki. Fig. 62 daje formę podszewki rękawa, materyał z wierzchu zaś kraje się podług linii cienkiej i przymarszcza u dołu do mankieta pokrytego haftem. Spódniczka podszewkowa 44 cent. długa, 160 szeroka zakończona plisowaniem 8 cent. szerokiem, przykryta jest szeroką falbaną złożoną w kontrafałdy 3 cent. szerokie. Draperya przednia przyszyta podług linii cienkiej szwem odwracanym do stanika, układa się z bryta 105 cent. szerokiego, 60 długiego, sfałdowanego z brzegów bocznych do 10 cent. Upięcie tylne dane z bryta kwadratowego 80 cent. długiego w górze i z boków sfałdowanego i przyszytego z tyłu pod bretelkami podług ryc. 19.

N. 4—5. Kołnierz i mankiety haftem weneckim. Patrz ryc. 4—5 w N. 22. Deseń na arkuszu fig. 83.



N. 31. Bluza podróżna z karczkiem. Krój na arkuszu N. V, fig. 24—31.



N. 32. Pasek do sukni.

Rycina 5 w dzisiejszym i ryc. 4—5 w N-rze 22 przedstawiają kołnierz i mankiety odrobione haftem weneckim podług desenia fig. 83 i podług ryc. 4 w N-rze 23, dającej większą połowę mankieta w naturalnej wielkości. Deseń rysuje się na żółtawem płótnie; wszystkie kontury wyszyte są nitką złotą wziętą podwójnie i przytwierdzoną dzierganiem z żółtej filozeli; z nitki złotej wypadającej od brzegu dawane są pikoty, zapełniające puste odstępy między deseniem. Powierzchnię desenia pokrywa wyszycie ściegiem krzyżowanym żółtym jedwabiem. Zamiast ściegu krzyżowanego można wyszyć ściegiem płaskim jak to widać na fig. 83.

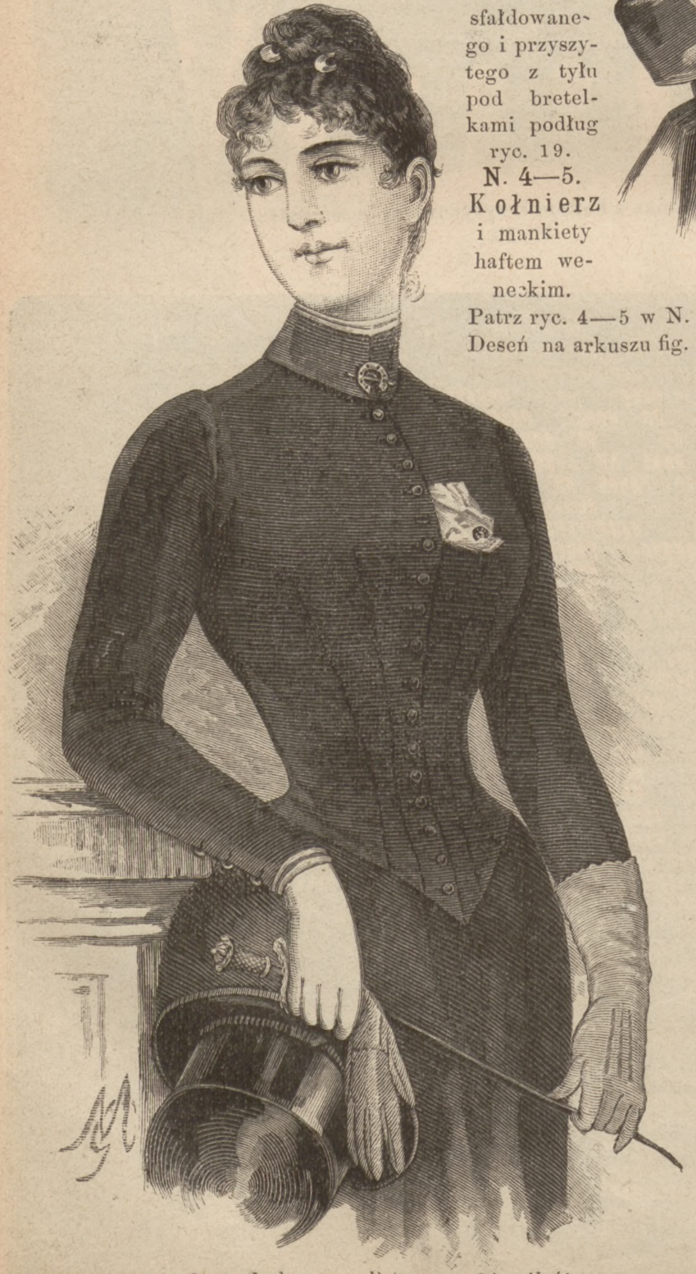
N. 6. Czepeczek z koronką.

Na denko potrzeba trójkątnego kawałka aksamitu, 16 cent. długiego z brzegów prostych, 45 w górze, który przyszywa się do paska 50 cent. długiego w środku z przodu 7 cent. szerokiego, zwężającego się do tyłu. Koronka w górę wywinięta pokrywa pasek i zarzucona jest z tyłu główki pod sutą kokardą z wstążki z pikotami.

N. 7—8. Uczesanie i kołnierz z żabotem.

Moda obecna wymaga aby uczesanie nadawało głowie kształt wązkiej i małej; ryc. 7 przedstawia włosy rozdzielone na środku nad czołem i poprzecznie do tyłu głowy; przednie włosy odczesują się ku tyłowi i łączą z pozostałą resztą włosów, z których na czubku głowy ułożone pukle, podtrzymane są wysokiemi ozdobnemi szpilkami. Stojący kołnierz z gładkim żabotem uszyty jest z wstążki z pikotami 10 centymetrów szerokiej, z jednej strony aksamitnej z drugiej atłasowej, koloru czerwonawo lila zwanego, „Ophelia". Część opasująca szyję pokryta jest koronką, przewleczoną pięć razy wązką wstążeczką; końce przednie 110 cent. długie, podwinięte są w pukle 20 c. długie, złączone w górze pięcioma kokardkami z wązkiej wstążki.

(*D. c. n.*)



N. 33. Ubranie do jazdy konno. Patrz ryc. 24. Krój na arkuszu N. X—XII, fig. 51—58.



N. 34. Suknia z bawetowym stanikiem.